Serya III. Czerwiec 1895. Nr 6

LISTY I PRZESYŁKI ADRESOWAĆ NALEŻY:
DAWN
7, Beaumont Square.
Mile End Road
London E.

PRZEDŚWIT

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC
Przedpłata roczna wynosi:
4 s. — 4 m. — 5 fr. — 1 dol.
w kopertach: 5 flor. — 4 r.s.

CZASOPISMO SPOŁECZNO-POLITYCZNE

ORGAN ZWIĄZKU ZAGRANICZNEGO SOCYALISTÓW POLSKICH

TERAŹNIEJSZOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ POLONII W AMERYCE

NIEDAWNE to jeszcze czasy, kiedy o emigracyi polskiej do Ameryki ogół publiczności w kraju wiedział tylko ze sztuk Anczyca a dla zapoznania się z życiem polaków za oceanem służyć mogły chyba mniej lub więcej zabawne cytaty z prasy polsko-amerykańskiej, umieszczane w pismach naszych jedynie gwoli uciesze czytelników. Czasy te bezpowrotnie minęły. Od paru lat „społeczeństwo“ nasze zwróciło na Amerykę baczną uwagę. Powstały u nas pisma, stawiające sobie za zadanie służyć łącznikiem między emigracyą a krajem ojczystym; Amerykę ogłoszono za „czwartą dzielnicę Polski“; naszych chłopów i robotników, szukających za oceanem lepszej doli, zapewniają, że oni tam „za oceanem budują nową Polskę“; wreszcie nawet ci z naszego obozu patryotycznego, którzy roszczą pretensyę do nazwy „ludzi czynu“ i chcą być uważani za poważnych działaczy politycznych, — wyczekują zbawienia ojczyzny z za oceanu.

Jeżeli przyjrzyjmy się działalności wszystkich naszych organizacyi patryotycznych, to zobaczymy, że w ich rachubach Ameryka zajęła wszędzie stanowisko kamienia węgielnego: Skarb Narodowy, Związek Młodzieży itd wszystko to przenosi główne pole swej działalności za ocean. Charakterystycznem też jest, że i dziś jeszcze wychodźtwem naszem interesuje się prawie wyłącznie ta część prasy polskiej, która chciałaby uchodzić za reprezentacyę rewolucyjnego patryotyzmu, — stańczycy po dawnemu bardzo mało okazują entuzyazmu dla spraw „braci z za oceanu“. Nic w tem dziwnego, że ludzie, którzy dotąd nie wyszli za obręb wązkich horyzontów drobnomieszczaństwa, a jednak szczery wstręt czują dla polityki „zgody z losem“, szukają podstawy dla swych aspiracyi tam, gdzie pod opieką wolnych urządzeń politycznych zgromadziło sie $1^1/_2$ miliona *proletaryatu* polskiego, bo *czynu* tylko od proletaryatu u nas, zarówno jak i w całym świecie, oczekiwać można. Nic też dziwnego, że za nimi podążają i ci, którzy w tani sposób chcieliby udawać „rewolucyonistów“, bo w Ameryce frazesy rewolucyjne nic nie kosztują, o laury demagogiczne łatwo, a kontrola, sprowadzająca bańki mydlane do właściwego znaczenia niewinnej zabawki, — przez ocean nie łatwa. Ale swoją drogą dziwnem wydawać się może, że patryoci nasi, którzy z wszelkiej działalności i wpływu wśród proletaryatu polskiego czy w Galicyi czy pod caratem oddawna skwitowali, pozostawiając monopol ich socyalistom, — budują swe nadzieje na masie półtoramilionowej polonii amerykańskiej, składającej się właśnie wyłącznie z proletaryatu.

Trzeba przyznać, że dotychczasowy bieg wypadków nadziejom tym nadaje pozory słuszności. Organizacye amerykańskie, nie wychodzące w dążeniach politycznych po za nieokreśloną frazeologię drobnomieszczańskich patryotów, żyją i rozwijają się; Skarb rapperswylski zbiera dotąd grosze robotnicze; wyraźnych objawów świadomości klasowej widzimy dotąd bardzo niewiele. Zjawisko to napozór nienormalne — zasklepienia się ludności czysto robotniczej w przestarzałych aspiracyach drobnomieszczańskich — ma naturalnie jak wszystko na świecie swoje przyczyny. Wpływa na to przedewszystkiem pochodzenie głównej masy proletaryatu naszego w Ameryce. Nie są to przeważnie robotnicy wielkomiejscy, wychowańcy wielkiego przemysłu, wyćwiczeni przez hurtowny wyzysk w szkole solidarności klasowej; tembardziej zaś mało w Ameryce spotkać możemy ludzi, którzy przeszli już w kraju przez kadry bojowe partyi socyalistycznej. Nasza emigracya składa się z elementów, zrujnowanych co prawda przez kapitalizm i uciekających przed tą ruiną za morze, ale takich, które z kapitalizmu tylko złe jego strony zaznały, których kapitalizm w zakres wychowawczej swej misyi dziejowej wciągnąć jeszcze nie zdążył. Są to

byli chłopi — posiadacze drobnych kawałków ziemi byli majsterkowie lub co najwyżej czeladnicy z małych miasteczek. Przechodzą oni pod względem klasowym do szeregów proletaryatu dopiero na gruncie amerykańskim. A tu spotykają ich znowu okoliczności, w których trudno spodziewać się na razie rozkwitu świadomości klasowej. Zarobki amerykańskie do ostatnich czasów poprostu przechodziły potrzeby naszego świeżo zrekrutowanego proletaryatu. Wreszcie, gdy i tu zaczyna doskwierać im bieda, nic dziwnego, że w instynktownem szukaniu środków zaradczych na nią najpierw oglądają się na ludność tubylczą, anglo-amerykańską. Nic dziwnego, powiadamy, bo rodowici amerykanie imponują naszym ziomkom i swą „wyższością kulturalną“, i wolnemi urządzeniami, które sobie potrafili wywalczyć i utrzymać, i - - co najważniejsza - swem lepszem położeniem ekonomicznem. Tu jednak, niestety, rodacy nasi świetnych wzorów nie znajdują. Ruch socyalistyczny w Ameryce — zwłaszcza wśród rdzennie tubylczej ludności anglo-amerykańskiej — nad wyraz jest słabym.... Wystarcza to, by zrozumieć, dlaczego dotąd świadomy ruch socyalistyczny tak małe poczynił postępy wśród polonii amerykańskiej, dlaczego dotąd ona może być uważaną za wdzięczne pole do działalności naszych drobnomieszczańskich patryotów. Jednak jeśli to stronnictwo same skwitowało z wpływów na proletaryat w kraju ojczystym, to i w Ameryce musimy mu już powiedzieć: „zapóźno, kwiatku!...“

Dowodów na budzenie się w polskich masach instynktów klasowych przytaczać tu nie będziemy: robi to nasz korespondent amerykański. Ale objawy, jakie już dziś tak obficie spotykamy, muszą się z dniem każdym mnożyć. Bieda nie na żarty zajrzała w oczy robotnikowi amerykańskiemu. A w ponurem świetle chronicznego kryzysu przemysłowego naszym rodakom niejedno — i to nietylko w Ameryce — musi się przedstawić inaczej, niż dawniej. Bieda amerykańska, tak dotkliwie dająca się uczuć pomimo wolnych urządzeń tego kraju, musi w nich ostudzić zapał dla tej przyszłej Polski, w której podług zapewnień patryotycznych frazesowiczów amerykańskich wilk z barankiem będą żyli pospołu w przykładnej harmonii i zgodzie. Nietylko więc zaczyna robotnik polski rozumieć konieczność walki klasowej w samej Ameryce, ale przenosząc się uczuciem do „starego kraju“, i tam musi pożądać Polski *dla siebie*, swojej własnej, robotniczej. A to kres kładzie wszelkim wzdychaniom do mglistej „ojczyzny“ patryotów.

Że tak jest już teraz potrochu, tego dowodzi nam przewrót, odbywający się powoli w prasie polsko-amerykańskiej, która musi się zastosowywać do pożądań swych czytelników. Znamiennym pod tym względem jest wniosek p. H. Piotrowskiej na niedawnym (5 lipca r. b.) zjeździe dziennikarzy polskich w Buffalo*) Wniosek ten, mający za sobą większość obecnych, upadł jedynie dlatego, że regulamin zjazdu uważał za przyjęte tylko wnioski, przechodzące jednogłośnie. Został on zastąpiony rezoluayą, pozbawioną tego wyraźnego charakteru klasowego, postawioną przez reprezentantów stronnictwa księżowskiego ze „Zjednoczenia“ i „Ligi Polskiej“.

Jeśli wszakże z prasy amerykańskiej mamy wyciągać wnioski o nastroju naszej emigracyi, — a jest to materyał do studyów w tym kierunzu najlepszy i bardzo bogaty, — to dostrzeżemy jedną jeszcze znamienną cechę umysłowości polonii amerykańskiej. Oto — polacy w Ameryce nie przestali być polakami, odwrotnie nienawiść do najazdu, pod którym jęczy nasza ziemia, na emigracyi przy lepszem bądź co bądź położeniu ekonomicznem i mniejszej trosce o chleb powszedni — wzrosła. Niezawodnie wpłynęły na to i porównania wolności amerykańskiej z niewolą w kraju, jakie w najtępszych nawet głowach wychodźców codziennie powstawać muszą. Dużo zresztą czynników złożyło się na ten fakt, który z jednej strony musiał się odbić w dotychczasowem powodzeniu robót patryotycznych na gruncie amerykańskim, a z drugiej strony ilustrowany jest codzień chociażby przez to, iż pisma polskie poświęcają na ogół tyleż miejsca wiadomościom ze „starego kraju“, ile Ameryce i obcym krajom razem wziętym. Są zapewne i tam elementy, podlegające szybko wynarodowieniu, ale są to elementy najlichsze, na których żaden ruch polityczny oprzeć się nie może. Tak samo żadnej wartości społecznej nie ma wynarodowiona część młodzieży polskiej, zrodzonej na ziemi amerykańskiej.

Nie dość jest jednak fakt ten konstatować lub nawet z zadowoleniem podkreślać. Socyaliści nasi w Ameryce muszą z niego wyciągnąć wnioski pozytywne i zastosowywać je przy codziennej swej pracy. Rezultatem bowiem takiego nastroju mas robotniczych jest przedewszystkiem, iż robotnik polski bardzo ozięble traktuje sprawy polityki amerykańskiej, walki partyi miejscowych itp. Oczywiście, i tu ważną rolę odgrywają również i inne czynniki. Tak więc przedewszyskiem wpływa na to słabość politycznego

---

*) « My dziennikarze polscy i wydawcy gazet polskich w Ameryce, uznajemy interesy i cele robotników za różne od celów kapitalistycznych i jako prasa robotniczego ogółu polskiego w tym kraju obowiązujemy się wedle możności, zawsze i wszędzie, stawać w obronie robotnika przeciwko kapitaliście ».

ruchu i organizacyi socyalistycznych tubylczego proletaryatu. A już naturalna, że brak u polaków wszelkich węzłów tradycyjnych, które dotąd przykuwają robotnika anglo-amerykańskiego do jednej z dwóch wielkich partyi burżuazyjnych, każe mu przyjmować stronę demokratów lub republikanów tylko pod wpływem kufla piwa albo nadziei na „urząd“ zamiatacza ulic. Zadne przeto stronnictwo, zakorzenione wyłącznie w gruncie amerykańskim, nie ma widoków na większe powodzenie wśród mas polonii. Idzie to tak daleko, iż nawet „Liga Polska“, usiłująca pod pozorem „pracy w Ameryce dla polaków amerykańskich“ zwalczać organizacye patryotyczne na korzyść monopolu księżowskiego nad kieszeniami i umysłami polonii, nawet taka „Liga“ - mizernie wegetuje.

Ruch socyalistyczny wśród polonii amerykańskiej może liczyć na większe powodzenie dopiero wtedy, gdy będzie wyrazem obydwóch dążeń naszego proletaryatu. Będzie to dopiero wtedy, gdy robotnik polski poczuje, iż w szeregach socyalistycznych znajdzie nietylko jedyną ucieczkę przed jarzmem kapitału amerykańskiego, ale i jedyną poważną gwarancyę dla zniesienia ucisku, dręczącego „stary kraj“. Będzie to wtedy, gdy organizacya socyalistyczna stanie się węzłem, łączącym ściśle wychodzców z proletaryatem w ziemi ojczystej. Taka organizacya istnieje i jest nią nasz *Zwiazek Zagraniczny Socyalistów Polskich.*

Coprawda, już dziś, i to nie od dziś, czujemy się jak najściślej moralnie związanymi z towarzyszami naszymi z drugiej strony oceanu. Ale węzłów moralnych nie dość: czują je tylko jednostki wybitniejsze, kierownicze, świadomsze. Dla masy proletaryatu polskiego węzły te nie są tak widoczne. I nie mogą tu wystarczyć sporadyczne objawy sympatyi dla ruchu w „starym kraju“, nie wystarcza nawet teoretyczna wspólność programu towarzyszy amerykańskich z dążeniami proletaryatu polskiego w Europie. Trzeba, żeby się ta solidarność programowa stała hasłem organizacyi i objawiała na każdym kroku w walce codziennej.

Połączeni z nami w organizacyę, związaną ściśle z ruchem krajowym i reprezentującą Polską Partyę Socyalistyczną pod zaborem rosyjskim, towarzysze nasi w Ameryce zyskają i na tej sile moralnej, jaką daje poczucie należenia do organizacyi szerokiej, o wielkich celach i zadaniach. Nie wyklucza to bynajmniej współdziałania z partyą miejscową anglo amerykańską. Owszem, partya ta zyskać tylko może na przyroście sił, których organizacyjne złączenie się z nami towarzyszom amerykańskim bezwątpienia przysporzy. Obok tego rewolucyjne postawienie kwestyi niepodległości w programie P. P. S. da dopiero złączonym z nią przez Z. Z. S. P. towarzyszom amerykańskim należną możność przeciwstawienia Skarbom rapperswylskim naszego hasła: wolnej Polski robotniczej, zdobywanej przez robotników dla robotników.

Że podstawy silnej organizacyi socyalistycznej wśród polonii amerykańskiej istnieją już i teraz, tego dowodzi skwapliwość, z jaką bardziej przewidujące sfery „Związku Narodowego“ od pewnego czasu nawołują do otworzenia szeregów tej organizacyi dla socyalistów. Widać i tam istnieje poczucie siły moralnej i widoków przyszłości, reprezentowanych przez bądź co bądź nieliczne jeszcze organizacye nasze w Ameryce.

Z pionerami, rekrutującymi się w najlepszych i najenergiczniejszych sferach emigracyi, z poczuciem łączności z ruchem krajowym, ze świadomością, iż każdy postęp organizacyi socyalistycznej jest nietylko gwarancyą lepszych czasów dla Ameryki, ale i wyzwolenia z ucisku proletaryatu polskiego w ojczyznie, ruch nasz w Ameryce pójdzie wtedy szybko naprzód. A najbliższym rezultatem tego postępu będzie zgrupowanie się światlejszych sfer emigracyi, rozrzuconych w organizacyach patryotycznych, koło sztandaru socyalizmu. Staną wtedy w Ameryce naprzeciwko siebie dwa tylko stronnictwa, mające wyraźnie wytknięty cel, socyalistyczne i księżowskie: jedno — dążące do oświaty, wolności i dobrobytu drogą walki zorganizowanego proletaryatu, drugie — prowadzące ciemne masy na pasku tej części duchowieństwa, dla której wszystko jest dobrze, której nie pilno nawet do wolnej Polski, dopókąd dochody plebanii prosperują. Czy nie przewidywanie tej chwili, bądź co bądź smutnej dla rachub naszego drobnomieszczaństwa na Amerykę, każe już teraz „Przeglądowi Wszechpolskiemu“ robić reklamę księżowsko-stańczykowskiej „Lidze Polskiej“ ?

Gdy jednak stosunki tak dalece już się wyklarują, wtedy nieuchronnie rzeczy pójdą dalej; półtoramilionowa masa proletaryatu polskiego w Ameryce pod opieką wolnych urządzeń tej republiki stanie się rzeczywiście poważną siłą w walce o wolną Polskę robotniczą!

POKONANI ZWYCIĘZCAMI

Dramat w 3 aktach

RZECZ WSPÓŁCZESNA DZIEJE SIĘ W OKRĘGU KOPALNI WĘGLA.

napisał **Janko.**

OSOBY:

PROKOP
STAWARA } górnicy.
ŚWISTOŃ

DYREKTOR KOPALNI.
HRABIA, właściciel kopalni.
GÓRNICY, KOBIETY.

AKT I

Scena przedstawia kantor kopalni, przytykający do szybu, oddzielony od tegoż niską baryerą, poza którą przepaść. Umeblowanie proste. Na ścianie wisi tabliczka z dziurami, do przekładania kołka, gdy wózek z węglami wyjechał do góry. Co 3 minuty odzywa się dzwonek na znak, że wózek pełny wyjechał.

SCENA 1.

PROKOP, STAWARA, ŚWISTOŃ.

Stawara *(siada)*. Nieprzyjemny sen tej nocy miałem.

Prokop. Jak zwyczajnie starzy, sypiać nie mogą, a do snów przyjemnych sił nie mają.

Stawara. Prawdę mówisz. Przy tym czarnym węglu głowa pobielała, a stała się taka ciężka, taka skłopotana, że zamiast usnąć, mary dokoła ciebie po nocy chodzą. Śniłem, że duch ziemny zjawił się przede mną; po zwyczaju zażądał ognia i poprowadził za sobą. Wodził, wodził, to tędy, to owędy, aż wreszcie nad brzeg czeluści przywiódł. „Musisz przejść tę otchłań, a tam widzisz, stary, tam czeka cię spoczynek i radość". Nie chciałem iść, a duch ziemny zmuszał. Zdaje się, że niedługo te stare kościska na spoczynek złożycie, a spracowane ręce wzdłuż trumny wyciągniecie. Proszę was, wzdłuż trumny, obok ciała, bo takie one zmęczone, pokurczone.

Prokop. Stary, stary, po co innego myśmy tu przyszli, a nie ostatniej waszej słuchać woli.

Stawara. Pozwólcie mi się wygadać, nim jasny pan przyjdzie. Patrz, o czem mnie mówić? Gdzie mnie za wami dążyć i kroku dotrzymywać?

Prokop. Przynajmniej smutkiem innych nie zarażać i nadziei w lepszą nie odbierać przyszłość.

Stawara. Nadzieja -- ułuda. Ale ja bym wam i bielma z oczu nie zdjął, bylebyście dalej różowe obrazki oglądali. Ja wam wiary w lepsze czasy nie odbieram, nawet kulejąc za wami podążę, bez nadziei, bo już i trosk nie wiele u mnie. Sam jestem. Kawęczyć nie będę, a cztery deski i mogiłę wszak bracka kasa mi sprawi. Ciężko staremu, ciężko, bo nawet różowych obrazków nie widzi.

Świstoń. Baczność, bracia. Pan hrabia idzie. Znam jego chód. Przedstawmy się mu przyzwoicie.

Stawara. Cóż sobie Ty myślisz?...

Świstoń. Spokój!

SCENA 2.

Wchodzi HRABIA. STAWARA wstaje z krzesła

Hrabia. Witam was, witam moi drodzy, *(kłaniają się nisko z wyjątkiem Prokopa)*, ho, ho! Stawara tutaj! Witam, powtórnie witam!

Stawara. Łaska p. hrabiego nie pozwala zapominać o starym.

Hrabia. O starym, starym znajomym. Toć myż rówieśnicy!

Stawara. Prawda, a nikt by temu nie dał wiary. Ja zgarbiony, nogi i ręce pokurczone, a p. hrabia, bogu dziękować, jak młody.

Hrabia. Było się młodym, było. Dzisiaj troski, strapienia. To praca, mój stary, prowadzić takie przedsiębiorstwo.

Stawara. A przecież ja wcześniej zacząłem. P. hrabia długo jeszcze hasałeś po parku zamkowym, później podróżowałeś zagranicą, kiedy ja z ojcem moim w podziemia do pracy poszedłem.

Hrabia. I tak obydwa spełniamy każdy swój obowiązek.

Stawara. Tak, jasny panie, choć każdy inaczej i każdy z innym skutkiem dla siebie.

Hrabia. Jakiś gorzki ton w twoim głosie, stary.

Stawara. Cóż poradzić?

Hrabia. I chciałbyś jeszcze coś więcej powiedzieć?

Prokop. Właśnie, prosiliśmy p. hrabiego o pół godziny rozmowy i stawiliśmy się tutaj wedle rozkazu.

Hrabia. Dalipan! byłbym zapomniał, że mamy w dość ważnej pomówić sprawie. Tak się zagadałem z moim starym towarzyszem pracy i we wspomnieniach zabłąkałem. Cóż mi przynosicie?

Stawara. Nasze prośby do łaski p. hrabiego.

Prokop. Nasi bracia wybrali nas z pośród siebie, abyśmy ich żądania przedstawili p. hrabiemu.

Swistoń. Chcemy prosić jaśnie pana.

Hrabia. Dobrze możecie prosić, ale niech mówi Stawara albo.... Świstoń.

Stawara. Ktokolwiek, byle p. hrabia wiedział, o co rzecz idzie.

Hrabia. Słucham was.

Stawara. Górnicy, bracia nasi, nie mogą się pogodzić z zarządzeniem, aby płacę na każdym papierku o piętnaście centów mieli obniżoną.

Hrabia. Czemu?

Stawara. Czemu? Jakżeż to powiedzieć? Czemu? bo już przy dzisiejszym zarobku, p. hrabio, — połowa z głodu przymiera wraz z rodzinami.

Hrabia. Ale ty nie masz rodziny, o ile wiem.

Stawara. Przychodzę tu prosić więcej dla innych. Dla mnie górnik, co w glinie kopie doły, na wierzchu, — już łopatę nie kilof szykuje.

Hrabia. A więc?

Prokop. Górnicy nie mogą się zgodzić na zniżkę płacy i proszą o pozostawienie dawnej.

Hrabia. To być nie może.

Świstoń. Prosimy łaski jaśnie pana.

Hrabia. W żaden sposób. Powinieneś Stawara im wytłomaczyć, że nie mogę się zgodzić, że nie powinni żądać.

Stawara. Łatwo nakazać, ale jak im wytłomaczyć? Jak ich przekonać, że trzeba mniej jeść, kromki chleba dzieciom zmniejszyć i dłużej w surducie chodzić, niż można. Jak wytłomaczyć?

Hrabia. Ja nie wiem, aleś ty powinien umieć. Ty ich znasz, toć tak długo w kopalni pracujesz.

Stawara. I wiem, że gdy wszystko drożeje, my coraz mniej zarabiamy.

Hrabia. Tak jak i ja.

Prokop. A przecież....

Hrabia. Wiecie, że konkurencya wydziera mi z każdym rokiem więcej tysięcy z kieszeni.

Prokop. A my już dalej tracić nie jesteśmy w stanie. Dzisiejsze płace to koniec przyciągania pasa.

Hrabia. A więc rozejdźmy się.

Prokop. Tak by wypadało, lecz chcemy wszystko możliwe zrobić, aby nasi towarzysze nie żałowali, że nas tu przysłali.

Hrabia. Mogli się mnie poradzić, czy mogą żądania stawiać i was wysełać.

Prokop. Nie było sposobu wzajem się porozumieć. Władze wszystko robiły, aby górnicy zejść i porozumieć się nie mogli.

Hrabia. Dobrze robiły.

Stawara. Ale czy słusznie?

Hrabia. Dziwię się tobie, Stawaro, że myśl buntu na starość głowę ci opętała.

Stawara. Jestże to buntem, gdy prosić przychodzimy? Czy to jest buntem, gdy od ostatniej bronić chcemy się nędzy?

Hrabia. Ale siejecie i podżegacie niezadowolenie!

Prokop. Byłby zbyteczny trud. Szemranie jest ogólne wśród ludzi, a niezadowolenie przechodzi w gorycz.

Stawara. Ustąp, panie hrabio.... prosimy!

Hrabia. Niepodobna. Zważ, mój stary. Gdyby ci w ganku podziemnym sklepienie barami podpierać kazano, zdołałbyś? Zaprzeczasz? więc uwierz i mnie. Nie mogę płacy podwyższyć, bo musiałbym chyba sam z dziećmi swemi za kilof chwycić. Wszak wiecie, jak was kocham. Nie możecie wątpić, jak dobrze wam życzę i bylibyście niewdzięcznikami, gdybyście temu wierzyć nie chcieli. Łzy mi w oczach stają na samą myśl, że ja chciałbym wam krzywdę wyrządzić. Wierzcie mi, że żądania waszego spełnić nie mogę. Inaczej musiałbym zamknąć kopalnię, a wtedy jeszcze gorzej by dla was było.

Stawara. Mnie już i łzy w oczach nie staną. Dawno je gazy wypaliły. Cztery razy cudem śmierci w kopalni uszedłem i patrzeć temi musiałem oczyma, jak moich braci setkami grzebano. Mnie na łzy nawet nie stać, p. hrabio! Te skurczone palce, których wyprostować nie mogę, już nic złego nikomu zrobić nie potrafią, lecz pamiętaj, hrabio, że krzywda ludzka tyle znajdzie mścicieli, ile westchnień z piersi wytłoczyła. Że pieniądz z łez i nędzy naszej urobiony, jeśli nie tobie, jasny hrabio, to dzieciom twoim nieszczęście zgotuje. Pamiętaj.

Hrabia. Ty się zapalasz stary i głowa ci płonie!

Stawara. W tych słowach drga skarga tysięcy górników i.... groźba. Pamiętaj, panie!

Hrabia. Zabawny jesteś, starcze.

Prokop. O tyle, że bezsilnemi grozi dłoniami. Mości hrabio! przedtem nim tu przyszliśmy, mieliśmy pewność, że nietylko prosić, lecz żądać mamy prawo.

Hrabia. A ty w ten sposób do mnie się odzywasz.

Prokop. Jak pan widzisz.

Hrabia. Powinieneś milczeć.

Prokop. Spokojnie, panie hrabio, bo i ja, choć drżą mi ręce, usiłuję być spokojnym.

Hrabia. Więc mów.

Prokop. Prosiliśmy nie o podwyższenie płacy, lecz o zatrzymanie dawnej, bo wiemy, że zyski pańskie w jednym dniu tak wielkie jak stu rodzin górniczych roczne utrzymanie.

Hrabia. Cóż dalej?

Prokop. Więc słuszne nasze żądanie.

Hrabia. Mów!

Prokop. Że nieuczciwością jest skazywać tysiące ludzi na nędzę, wiedząc, że oni są bezbronni....

Hrabia. A dalej?

Prokop. Że zbrodnią jest przed niebem i ludźmi.

Świstoń. Co ty mówisz?

Prokop. Milcz.

Hrabia. Dalej, Prokopie.

Prokop. Zbrodniarzem jest ten, co nad skrępowanym się pastwi.

Hrabia. Mów!

Prokop. A więc prosimy.

Hrabia. Napróżno.

Prokop. Żądamy.

Hrabia. Skończyłeś?

Prokop. I ostrzegamy.

Hrabia. Czyś gotów?

Prokop. Tak.

Hrabia. Widzisz byłem spokojny i z tym samym spokojem każę cię zakuć w kajdanki i w więzieniu osadzić.

Prokop. A ja ani uciekać sprobuję.

Hrabia. *(chodzi wzburzony).* To straszne, niesłychane.

Stawara. Panie hrabio!

Świstoń. Jaśnie panie, przebacz.

Hrabia. I ty stary z nimi? I ty nie lepszy od niego? I ty słuchasz, gdy on mi bluźni? A prawda i ty mi groziłeś!

Prokop. A więc, mości hrabio?

Hrabia. Wy niewdzięczni! Byłem wam ojcem.

Prokop. Co dzieci swoje pożera.

Hrabia. Cały świat zna moje dobrodziejstwa.

Prokop. Najlepiej baletnice.

Hrabia. Zbudowałem wam szpital, kościół i domki.

Prokop. Aby nas, jak psy, trzymać na uwięzi i tyle zostawić swobodnego łańcucha, aby przejść można było z domku do szybu, z szybu do szpitala i do kościoła.

Hrabia. Albo do karczmy.

Prokop. Tak, tak pan to urządziłeś, aby i ostatni grosz wrócił tam, skąd wyszedł, — do twojej kieszeni, mości hrabio.

Hrabia. Zuchwalcze, jak śmiesz?

Prokop. Pan słyszałeś moje zuchwalstwa; to jeszcze nie wszystko, co ja potrafię.

Hrabia. Hej! jest tam kto? W dyby tego tego śmiałka.

Prokop. To nie są czasy pańszczyzny. *(Do Stawary).* Ja go przez baryerę w przepaść rzucę *(podsuwa się do odwróconego hrabiego).*

Stawara *(na stronie).* Szalony! *(Uderza w kolano Prokopa, który się wywraca. Świstoń go dźwiga).*

Hrabia. Co to jest?

Stawara. Nieprzywykły do śliskiej posadzki się wywrócił.

Prokop *(do Stawary).* Oh, będziesz żałował.

Świstoń. Jaśnie panie, błagamy; nie chcemy z próżnemi odejść rękami.

Hrabia. Zuchwalcy jesteście.

Stawara. Byliśmy pokorni, szydzono z nas.

Hrabia. Nie traćmy czasu *(przekłada kołek).* I nie przeszkadzajcie.

Stawara. Podczas naszej rozmowy za tysiąc papierków węgla te wózki z pieczary wyrzuciły, a w każdym tysiączku — życie jednego górnika. Nie zwiększaj naszej niedoli, panie hrabio!

Hrabia. Precz stary i wy zuchwalcy precz!

Stawara. Nie uprosimy?

Hrabia. Powiedziałem.

Świstoń. Błagamy na kolanach.

Hrabia. Nic wam nie pomoże.

Prokop. Pan powiedziałeś ostatnie słowo?

Hrabia. Tak.

Prokop. Zarządzenie nie będzie cofnięte?

Stawara. Daj się uprosić panie hrabio!

Hrabia. Nie będzie cofnięte. Milczcie, wyjdźcie i nie przeszkadzajcie.

Prokop. Pójdziemy. Za chwilę nikt panu przeszkadzać nie będzie. Po ostatniem twojem słowie, mości hrabio, ja tylko jeszcze kilka dodam *(zbliża się do baryery).* Haloo! maszynista! To ostatni wózek wyjechał do góry. Swięto! *(słychać gwizd i świstawki i wypuszczanie pary; turkot ustaje. Zbliża się do tuby),* Halooo! Jest tam kto na dole? *(pauza).* Wszyscy na górę. Święto. *(Za sceną).* Hurra!

Zasłona spada.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II

Scena przedstawia miejsce otwarte przed zabudowaniami szybu

SCENA I

ŚWISTOŃ I GÓRNICY.

Świstoń. Więc sądzicie, towarzysze, że ustąpić nie powinniśmy?

Górnicy. Nie! nie!

Świstoń. Tak, ja wam radzę. I za wszelką cenę zdobyć dawną płacę?

Górnicy. Choćby nas i życie kosztowało!

Świstoń. Niech żyją górnicy! Niech żyje jedność!

Górnicy. Niech żyje!

Świstoń Byłem pewny waszej stanowczości, gdyśmy u właściciela kopalni w waszem imieniu przemawiali. Ja, towarzysze, z całą siłą nacierałem na niego. Ja, towarzysze, przedstawiłem mu słuszność naszej sprawy. Ja, towarzysze, przekonywałem, że ustąpić powinien. Wobec uporu tego wyzyskiwacza nie mogłem *(poprawia się)* nie mogliśmy inaczej postąpić, jak bastówkę ogłosić.

Górnicy. Dobrzeście zrobili!

Świstoń. Dobrze? Ja, towarzysze, tylko to robię, co wy chcecie.

Górnicy. Wiwat Świstoń, wiwat!

Świstoń. Dziękuję, szanowni towarzysze. Ja, towarzysze, wysłałem Prokopa, aby w całym rewirze poruszył górników i skłonił ich do świątkowania za nami. Prokop wróci niedługo, bo bawi już dwa dni w podróży i wie, że czekamy wiadomości niecierpliwie. Wogóle w targu z właścicielem kopalni, w dalszem prowadzeniu bastówki, porozumiewaniu się i tak dalej, i tak dalej poczyniłem wszystko, co może nam zwycięstwo zapewnić.

Górnicy. Wiwat Świstoń!

Świstoń. Popisałem listy na wszystkie strony, aby nam przybywano z pomocą składkami. I jeśli tak dalej pójdzie, jak do dziś dnia, możemy być pewni wygranej.

SCENA 2.

CIŻ I STAWARA.

Stawara. Oby to wszystko prawdą było, co słyszę. Dochodzą mnie wieści, że dyrekcya potrafiła zjednać sobie „smyków". Moi bracia, nasamprzód musimy postarać się o to, aby nikt, ale to nikt z górników na dół zejść się nie ważył.

Jeden z górników. Dotychczas niema takich.

Stawara. Gdyby się znaleźli, musimy z dobrem słowem pójść do nich. Przedstawimy im, że i siebie i nas gubią.

Świstoń. A jak nie posłuchają, to po głowie.

Stawara. Nie. Jeśli kogo jako człowieka nie przekonamy, że powinien z braćmi iść razem, to nam nic z niego, jeśli jak wół pod kijem pociągnie. Po ludzku z ludźmi.

SCENA 3.

CIŻ I DYREKTOR.

Dyrektor. Co to za zebranie?

Świstoń. A to proszę pana dyrektora *(zbity z tropu)*.

Stawara. Zeszliśmy się, aby uradzić, jak sprawę do końca doprowadzić.

Dyrektor. Na żadne schadzki gromadne nie pozwalam, rozejść się macie natychmiast. Do takiego końca, jak wy myślicie, doprowadzić nie pozwalam.

Stawara. Ale go pan jeszcze nie znasz.

Dyrektor. Ja wiem, jak się to skończy.

Stawara. Chyba, że tak. W takim razie wiesz pan więcej, niż my, ale to znaczy, że pan nic nie wiesz.

Dyrektor. Zobaczymy.

Stawara. Albo na zgubę naszą czyhasz.

Dyrektor. To od górników zależy.

Stawara. A więc jakże ma być?

Dyrektor. Natychmiast wrócić do pracy lub poginiecie, jak pędraki wyorane.

Stawara. A któż będzie węgle dobywał?

Dyrektor. Tysiące na wasze miejsce dostanę.

Stawara. Taki to koniec pan przewidujesz.

Dyrektor. Nie inny.

Stawara. Od ostatniego widzenia z p. hrabią jeszcześmy się z nim nie godzili. Może spór załagodzimy. Ludźmi jesteśmy. Możemy się wszyscy mylić, ale to jasne, żeśmy bardzo pokrzywdzeni obcięciem płacy.

Dyrektor. Z panem hrabią nie macie nic do mówienia. Ja mam zlecenie skończyć z wami.

Stawara. W taki sposób, jak pan pierwej mówiłeś?

Dyrektor. Wydaje mi się najlepszy.

Stawara. To nie jest sposób porozumiewania się.

Dyrektor. Co tam mówić o porozumieniu się? Gdyby to jaki obieżyświat, buntownik, mówił, możebym się mu nie dziwił, ale wam, Stawaro? Wiecie, że uległością, zupełnem poddaniem się jeżeli nic nie uzyskacie — uporem jeszcze mniej.

Jeden z górników. Może tak i było, ale dzisiaj....

Dyrektor. Dzisiaj może być gorzej. Jestem wójtem w tej gminie, jestem dyrektorem kopalni. I cóż wy, nędzni, myślicie począć?

Jeden z górników. Nieźle by było naprzykład powiesić dyrektora i zatłuc kijami wójta — jak psa wściekłego.

Dyrektor. Który to mowi? Wystąp tu, śmiałku!

Stawara. Takie mowy tylko rozdrażnienie sprowadzają. Pomówmy rzetelnie.

Dyrektor. Wróćcie do pracy.

Stawara. Nikt się na to nie zgodzi.

Dyrektor. Każę was przymusowo do miejsc rodzinnych odstawić.

Stawara. Przyjdą inni, którzy za tę samą płacę, tak jak i my, nie będą w stanie pracować.

Dyrektor. Przywódców buntu każę uwięzić.

Stawara. Przecież nie wszystkich, a wszyscy żądamy, aby naszej nędzy nie powiększano.

Dyrektor. Buntujecie się i sroga czeka was kara.

Stawara. Nasze sumienie nic nam nie wyrzuca, upominamy się o swoje prawo, o prawo wyżywienia siebie i naszych rodzin. Czyż pan nie widzisz, ile nędzy koło ciebie? Ile chorób, ile głodnych umiera dzieci i matek, które karmić nie mogą, które zapracować dość nie mogą, a swych braci i mężów pracy pozbawiają? Czyż pan tego wszystkiego wokół siebie nie widzisz? A jeśli widzisz, to serca nie masz.

Jeden z górników. To drżyj, krwiopijco nikczemny!

Dyrektor *(wzburzony)*. Stawara, mam wzgląd na waszą starość, inaczej....

SCENA 4.

POPRZEDNI. PROKOP.

Prokop. Inaczej cóż? *(przystępuje bliżej)*. Ze mną możesz pan nie robić ceremonii. Ja młody. Stawara co mówi jest słuszną rzeczą, ale on mało panu powiedział.

Dyrektor. A was i język i skóra świerzbi?

Prokop. Nie mam obawy, ale, jak widzę, panu łydki drżą?

Dyrektor. Nie miałem nigdy do czynienia z rozbójnikami.

Prokop. Spokojnie, bez narażania się, w biurze nakładałeś kary.

D y r e k t o r. Gdy kto zasłużył.

P r o k o p. Sprzedawałeś drogo olej do lamp i żywność górnikom, i tysiące zebrałeś....

D y r e k t o r. Zarobiłem uczciwie....

P r o k o p. Z tą samą uczciwością wypróżniłeś kasę bracką.

D y r e k t o r. Co mówicie?

P r o k o p. Kazałeś pan oszukańczo węgle ważyć i okradałeś wprost górników, ale pan jesteś szlachetny, nie rozbójnik

J e d e n z g ó r n i k ó w Hej, chłopcy! przyjrzyjmy się temu panu z bliska *(otaczają dokoła dyrektora).*

D y r e k t o r. Czego wy chcecie? Ustąpcie. Odejdźcie.

P r o k o p. Nie bój się pan, nie jesteśmy rozbójnikami, ani nawet tchórzliwymi złodziejami. Tutaj, między nami nic się panu nie stanie.

D y r e k t o r. Więc puśćcie mnie.

S t a w a r a. Chcemy pana o krzywdzie nam wyrządzonej przekonać i poruszyć do ustępstw.

D y r e k t o r. Nie inaczej, jak pod warunkami tymi, które wam podałem.

P r o k o p. A więc walka do upadłego.

D y r e k t o r. Jak myślicie. Ja gotów jestem.

K i l k u. I my także

D y r e k t o r. Obliczcie się dobrze.

P r o k o p. Niema po co. Nic nie stracimy.

D y r e k t o r. Patrzcie i słuchajcie.

SCENA 5.

CIŻ. KOBIETY, wchodzą, lamentując.

J e d n a z k o b i e t. Ludzie! i siebie i nas i nasze gubicie dzieci.

S t a w a r a. Zastanów się, kobieto, co mówisz?

J e d n a z k o b i e t. Cóż tutaj próżne mogą znaczyć słowa moje? Wiecież, co się z nami dzieje? Od czasu jak do kopalni nie schodzicie, w sklepikach odmówili nam żywności.

P r o k o p. Przecież do dziś dnia żyjemy.

J e d n a z k o b i e t. Porwaliście się na panów, którzy was zgniotą, zamorzą.

P r o k o p. Radzibyście więc umierać powolnie.

J e d n a z k o b i e t. Ale przynajmniej pod dachem ,a nie na polu, jak pies bez pana. Kazali nam się z domków wyprowadzać, rzeczy i kolebki wyrzucają. I wy temu wszystkiemu winni jesteście.

D y r e k t o r. Głośny i żywy wyrzut sumienia.

S t a w a r a. Obyś go pan nigdy od swoich nie słyszał.

P r o k o p. Przekleństwo wam, piekło i pioruny na waszą głowę za te środki, których przeciw nam używacie.

J e d n a z k o b i e t. Miejcież serce, mężowie i bracia!

P r o k o p *(do dyrektora).* Jeszcze raz przekleństwo wam!

J e d n a z k o b i e t. Jeśliście nas pojęli i dzieciom życie dali, czemuż nam ginąć każecie?

S t a w a r a. Kobieto! Te wszystkie wyrzuty obróć do tych, co winni całej naszej nędzy poprzedniej i przyszłej, a złorzeczenia niech na ich spadną głowę.

D y r e k t o r. Kobiety, słusznie sądzicie. Jedynymi sprawcami waszej niedoli są tylko ci *(wskazujc na górników).*

P r o k o p *(do dyrektora).* Zły duchu, jeszcze raz przekleństwo tobie. *(Do kobiet).* Kogo to wy posądzacie, że na was i na wasze godzą dzieci? Czy tych oskarżacie może, co w podziemiach na słońce nie patrzą i przy kaganku wdychają choroby a każdej chwili śmierci w oczy patrzą? A wszystko to na to, byście mogły żyć? Czy tych oskarżacie o waszą niedolę, co całe życie przejęci są troską o was? Tymże to zarzucacie lekkomyślne rzucanie roboty, co bardziej człowiecze chcą zdobyć wam życie. Powiedzcie! — milczycie?

J e d n a z k o b i e t. Bo krzywda — wielka dzieje nam się krzywda!

P r o k o p. Dlatego na oślep rzucacie się i winicie nie tych, co jej winni, ale tych, co złe usunąć pragną. Zastanówcie się i pomyślcie.

J e d n a z k o b i e t. Od rozumu odejść można.

P r o k o p. Dlatego szukajcie go wśród nas, z nami, a dłonie i głosy obróćcie na tych, co są prawdziwymi sprawcami złego.

D y r e k t o r. Nie wierzcie mu! On swoje winy na drugich radby złożyć.

J e d n a z k o b i e t. Wszakże on nasz. Ci wszyscy to nasi! Komuż by wierzyć, jeśli nie im?

D y r e k t o r *(słucha, gdy mu do ucha szepcze jeden z górników).* Więc mnie wierzcie i tym, co uczciwie pracować chcą, a nie wśród buntów próżniaczyć. Słuchajcie! Większa część górników do pracy wróciła i do szybu w tej chwili zjechali.

P r o k o p. To fałsz!

S t a w a r a. Być nie może.

P r o k o p. Niema i nie będzie podłych smyków.

S w i s t o ń. Tak jest, zjechali na dół.

S t a w a r a. Nieszczęśliwi i naszego nieszczęścia pragnący.

D y r e k t o r. Mylicie się stary, to są tylko rozsądni, którzy nie chcą zginąć, płynąc pod prąd. I wam nic innego nie pozostaje, jak podjąć na nowo pracę. Przestaną was z mieszkań wyrzucać, otworzą na nowo kredyt.

S t a w a r a. I stare jarzma na karki nasze nadstawią.

P r o k o p. I do ostatka nasze i naszych pokoleń wysysać będą siły, na naszych kościach złociste budować zamki. Bracia! Chodźmy się przekonać. Ja nie wierzę, iżby znaleźli się wśród nas ludzie, co wytrwać do końca nie mają odwagi.

D y r e k t o r *(do przybyłego).* Czy żandarmi obsadzili bramy? Tak? To dobrze. *(Głośno).* Ha! nie wierzycie, więc idźcie się przekonać. *(Odchodzi).*

W s z y s c y. Chodźmy, chodźmy!

S w i s t o ń. Tak jest, towarzysze, nie pozwolimy na to, aby przed czasem się poddawać. *(Słychać szmer za sceną i hałas).*

S t a w a r a. Muszę z nimi! Gdyby mi kto 20 lat odjął z barków i rozpętał nogi! *(odchodzi).* Hej, hej!

P r o k o p. Co robić, co robić, wszystko na nas się sprzysięgło. I niebo i czeluście ziemi i ludzie i najbliżsi nasi. Starczyż nam siły *(nadsłuchuje).* Tam groźny jakiś gwar. Nie czas w głowę zachodzić. Dalej! *(Odchodzi).*

SCENA 6.

Wchodzi DYREKTOR.

D y r e k t o r. Z tego miejsca jak na dłoni dojrzeć mogę, jak górników żandarmi przyjmują. A że ich przyjmą należycie, o to się postarałem. Mam zupełne pełnomocnictwo pana starosty *(z daleka słychać krzyki).* Panowie bastujący się niecierpliwią, że ich w bramę wpuścić nie chcą żandarmi. Głupcy, właśnie o to idzie, aby nie wiedzieli, czy częsc górników zjechala do pracy, czy nie. W górę laski? Oho! Jak bezmiernie wywijają! Prą całą masą ku szybowi, żandarmi ostrzegają.... składają się.... Będzie gorąco *(słychać salwę).* Przecież to straszne.... *(Druga salwa).* Padają górnicy.. . Straszna nauka, lecz porządek musi być utrzymany.... *(Strzały).* Powinno być dosyć. Tak, uciekają w tę stronę.... *(Wybiega).*

SCENA 7.

PROKOP, GÓRNICY, KOBIETY.

Prokop *(niesiony prawie pod ręce)*. Zostawcie mnie. Schowajcie innych mniej rannych, których może aresztować będą. Lekko ranni niech umykają szukać pracy gdzieindziej. Kobiety, brońcie swych ludzi. Gdzie Stawara?

Świstoń. Tam leży z innymi.

Prokop. Czemużeście starego nie zabrali?

Jeden z górników. Już mu nic złego nie zrobią.

Prokop. Ta..a..ak? W oczach mrówki mi łażą, a w boku coś świerzbi i piecze. Zbierajcie lekko rannych i ukrywajcie. Dalej, bracia, dalej, praca na dziś jeszcze nie skończona *(odchodzi wielu)*. Stawara, Stawara! Staremu już nic nie zrobią.

Jeden z górników. Idą, idą zbóje i mordercy. Możesz się podnieść? *(chce dźwigać Prokopa)*.

Prokop. Umykaj odemnie jak od złego powietrza, i tak bym nie mógł iść *(górnik odchodzi)*. Żebyśmy tylko po tym gorącym chrzcie dalej wytrwali.

Zasłona spada.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III

Scena przedstawia cmentarz, na którym wśród nocy dół kopią górnicy, kilka latarek migoce.

SCENA 1.

GÓRNICY, KOBIETY, ŚWISTOŃ.

Jedna z kobiet. Tu, obok wielkiej wspólnej mogiły dół mu wykopać.

Świstoń. Zasłońcie sobą światło latarek, bo z góry z zamku zobaczyć nas mogą.

Jeden z górników. Czegóż więcej obawiać się możemy.

Świstoń. Myślicie? To był początek końca dopiero i teraz całą zemstę na pozostałych wywierać będą. Wiecie, jak żaadarmi łowią za każdem słówkiem, za każdym znajomym lub krewnym rannego lub zabitego.

Jeden z górników. Kogo kulami nie przekonali, tego więzieniem chcą przekonać.

Świstoń. Ktoś tu podchodzi.

Kilku. Prokop, Prokop!

SCENA 2.

CIŻ SAMI. PROKOP (z ręką na temblaku).

Prokop. Czy to górnicy tak przywykli do ciemności, że po nocy obrady zwołują i na cmentarzu.

Jeden z górników. Chowamy brata, aby nie wiedzieli, gdzie się podział.

Świstoń. Żywych chronimy, ukrywając umarłych.

Prokop. Może to nie dob ze. Niech mordercy ofiary swoje po nocy grzebią, myśmy powinni za dnia skargi podnosić. A skargą głośną jest pogrzeb górnika, który w obronie sprawy górniczej życie położył.

Świstoń. Co ty tu robisz? Wszak cię uwięziono, czyż by uwolnili?

Prokop. Ja sam się uwolniłem, byłem bliski szału. Ranny, codzień badany, zamknięty jak zwierz w klatce, a co najgorsze nieświadom, co się z wami dzieje. Za wszelką cenę chciałem się tu dostać. Towarzysze wyłamali kratę w celi więziennej i dzięki im mogę się nacieszyć wśród was. Co myślicie czynić?

Świstoń. Chodzimy milcząc, zaciskając zęby.

Jedna z kobiet. I płaczemy umarłych. Cóż nam pozostało robić?

Prokop. Bardzo wiele! Wszystko, czegośmy dotąd nie zrobili. A naprzód żal ukryć na samo dno serca. Niech mordercy nasi i zdziercy nic o nim nie wiedzą. Żal odwagę odbiera. Oni by nas chcieli widzieć złamanych, płaczących.

Jedna z kobiet. Jakże to trudno nie płakać zabitych, pokaleczonych, uwięzionych.

Prokop. Nie trudno, gdy żywymi się zajmiemy. Czy oni zginęli od gazów wybuchających, czy od kuli żołdaków, — dla nich wszystko jedno; od nas zależy, aby ani jedną ani drugą śmiercią górnik nie ginął.

Jeden z górników. Łatwo powiedzieć.

Prokop. A wykonać przecież musimy. Czy wiecie, dlaczego gazy nas rozszarpują i ziemia przywala? Bo upomnieć się nie potrafimy.

Jeden z górników. Uczyniliśmy to, a przecież....

Prokop. Strzelano do nas, jak do stada baranów, bośmy byli stadem. Wielką chmarą ludzi, z których każdy myślał, jak mu się podobało. Ludzi, nie związanych niczem i nie czujących gruntu pod nogami.

Jeden z górników. Rozumiem, brakło nam organizacyi.

Świstoń. Zawsze to powtarzałem.

Prokop. Zrobiliśmy na sobie smutne doświadczenie. Pokonano nas. Musimy pokazać, że i z tego upadku dźwignąć się potrafimy.

Jedna z kobiet. To trudno będzie.

Jeden z górników. Dla tych, co wątpią z góry.

Prokop. Po mojej ucieczce byłem po innych kopalniach wstępując. Tam naprawdę myślą o związku trwałym, którego by upór przedsiębiorcy nie złamał.

Jeden z górników. I od którego by kule żandarmskie się odbiły jak od ściany granitowej.

Prokop. Tak jest, klasa robocza, gdy zechce, może być jeszcze wytrzymalszą. Bracia! jestem być może na krótko między wami, chciałbym się z wami porozumieć.

Świstoń. Może nas tu zbyt mało. Skoczmy do kolonii i zwołajmy kogo można. Dalej! */wychodzą z wyjątkiem kobiety, siedzącej około mar naprędce zbitych i grabarzy/.*

Prokop */do kobiety/*. Patrzycie na mary i cóż tam widzicie?

Kobieta. Przed marami była nędza i ból, za marami rozpacz.

Prokop. Po tej nocy ciemnej jasny dzień nastąpi. Wśród nocy nabierzemy sił i z brzaskiem rozpoczniemy robotę, która niedługo owoce przyniesie. Spokoju i odwagi, kobieto!

Kobieta. Wszak jestem spokojną. Widzicie, że ani się rzucam na mary z głośnym krzykiem ani rąk nie załamuję i nie płaczę. Mnie nic nie boli. Możecie rękę mi odciąć. Boleć mnie nic nie będzie. Jednego zabili, a drugi w chałupie ranny leży. Obydwu ich wychowałam. Ja nie płaczę. Takam spokojna, jak Grzegórz, co na marach leży */odchyla nakrycie na głowie/*. Tylko, Prokopie, powiedz, czego on tak strasznie patrzy.

Prokop. Bo w stronę zamku patrzy.

Kobieta. Tak? */oryentuje się/*. Prawda, tam zamek. Prokopie, a czemu on takie brwi ma ściągnięte?

Prokop. Bo w zamku widzi okna błyszczące weselem.

Kobieta. A dlaczego mu palce tak pokurczyło?

Prokop. On umierał z myślą, że się bronić, matko, potrzeba.

Kobieta. Prokopie! on już nie wstanie? Czemu

nie odpowiadasz, powiedz mi! Słyszysz?! Czy on już nie wstanie?

Prokop */na stronie/*. Pod tym wzrokiem zmysły postradać można.

Kobieta. Nie od..po..wia..dasz?!! Miałeś ty matkę?

Prokop. Miałem.

Kobieta. Więc mi powiedz, czy on już nie wstanie?

Prokop. Nie!

Kobieta. A tego drugiego, co w domu leży także na mary weźmiecie?

Prokop. Nie wiem.

Kobieta. Nie wiesz? Ale ja wiem. Mój drugi, młodszy od tego, ma także taki siniec na boku. Mały znaczek. O! popatrz, taki sam */odchyla nakrycie/*. Czy widzisz?

Prokop. Widzę.

Kobieta. Tylko wody ciągle woła.

Prokop. Więc dajcie.

Kobieta. I pyta mnie się, kto ja jestem. Słyszysz, matki swojej się pyta, kto ona. Wiem, wiem. Przyjdziecie, na marach ułożycie i tu zakopiecie i tego drugiego. Wszyscy, wszyscy tu legną, bo i mąż mój gdzieś być musi. Z kopalni mi tylko jego chustkę przynieśli. Czerwoną chustkę ze szyi, skrwawioną chustkę. Jego nie mogli odszukać. Z górników tylko strzępy pozostały w szybie. Chłopaki, ho, ho, jeszcze małe były, ale powiedz wreszcie, czy i Michała, tego drugiego, tu przyniesiecie?

Prokop. Nie wiem.

Kobieta. Popatrz mi w oczy! Nie widzę dobrze, ale ty nie śmiesz mi popatrzeć do ócz.

Prokop. Matko, uspokójcie się!

Kobieta. Widzisz, jak stoję spokojnie */opuszcza ręce, słania się na ziemię i głowę o mary opiera/*.

Prokop. Powiedzcie mi, co się tu działo, gdy mnie żandarmi zabrali?

Kobieta. Panowie przyjechali z daleka, z bardzo daleka. Zastrzelonych na deskach kładli, p. hrabia stypę w zamku wyprawiał, jedli i pili i bawili się a nie zawołali krewnych zabitych — nie po zwyczaju. Panowie doktorzy oglądali zabitych i cieszyli się, że kule pięknie zabijały. Potem krajali, ale jak to dobrze, że mego Grzegorza nie krają, zabici nigdzie śladu nie mieli postrzału. Usnęli, mówili.

Prokop. Tak oni całe życie nas mordują, że śladu nie widać. Zapadłe policzki, tylko kaszel i nogi, jak ołów, ciężkie.

Kobieta. Potem znów była stypa w zamku, jak po pogrzebie. Nikogo z górników nie wołali na stypę, a potem, potem... */przypomina sobie/* potem nie wiem już, co się stało. Grzegórz i Michał, przedtem stypa, albo ja już wiem? Nie zabierajcie mi Michała. Wszak on mój syn, a nie wasz. Chcecie może stypy, to wam wyprawię, lecz go nie zabierajcie, co bym ja wtedy poczęła?

Prokop. Wtedy pójdziesz, matko, w świat daleki, do każdej wstąpisz chaty i powiesz ludziom, że ci męża i synów zabili.

Kobieta. Ludzie się może śmiać będą i stypę wyprawić każą.

Prokop. Nie będą się śmieli.

SCENA 3.

CIŻ. WCHODZI WIELU GÓRNIKÓW.

Prokop. Powiesz im, matko, o swojej krzywdzie i wezwiesz ich, aby ci sprawiedliwość wymierzyli, bo krzywda ci się stała.

Kobieta. Wielka, jak wielka!

Prokop. Ta krew, co ją mordercy z twego męża i synów wytoczyli....

Kobieta. O, ludzie dobrzy, ratujcie moją głowę!

Prokop. Obryzga i zadławi kiedyś zbójców.

Kobieta. I synowie wstaną? Powiedzcie!

Prokop. Wstaną jako upiory. Ich pamięć */z uniesieniem/* zagrzeje nas do walki, potroi nasze siły, morderców wygnamy i braćmi wszyscy będziemy.

Kobieta. A moi synowie?

Prokop. Tak, jak wielu innych, tu będą spoczywali.

Kobieta. Ja nie chcę spoczynku. Idę ludziom opowiadać o moich synach, o mężu i zabójcach. Ludzie, */odchodzi zwolna/*. słuchajcie, dwóch miałam synów, na stypie nie piłam. Na mary ich zabrali, hej zbóje! oddajcie mi synów! Mordercy, co bez śladu zabijacie! Oddajcie mi synów. Ludzie! dobrzy ludzie! powróćcie mi synów, nie zostawcie mnie samą */głos niknie/*.

Prokop. Nie przeszkadzajcie jej. Niech idzie, a jej skargi niech góry i lasy stokrotnem echem rozniosą, i umarłe ciała w żywych dusze niech do boju zagrzeją. Jesteście? To dobrze.

Jeden z górników. Grób gotów.

Prokop. Opuśćcie ciało do mogiły. Niech spoczywa bez troski */spuszczają ciało/*. Ile ziarn piasku w tych grudkach ziemi, co ją na oczy brata rzucacie, tyle nas stanąć powinno do obrachunku z jego mordercami.

Wszyscy. Staniemy!

Prokop. Wierzę wam, lecz sił nie macie. Związać się nam trzeba w wielkie bractwo!

Wszyscy. Jużeśmy zrobili.

Prokop. I zbierać środki, aby w razie oporu nikt wam głodem nie groził.

Wszyscy. Tak zrobimy.

Prokop. I niech nikogo nie braknie, gdy przyjdzie od ust sobie ująć dla wielkiej, świętej sprawy robotniczej.

Wszyscy. Przyrzekamy,

Prokop. Wobec ciał tych pomordowanych?

Wszyscy, Przyrzekamy.

Prokop. I nie pogrzebiecie tego obok naszych braci co zdradzi żywych i naszą świętą sprawę.

Wszyscy. Tak uczynimy.

Prokop. Bracia kochani! Ponad rzeszą robotników powiewa dziś wszędzie sztandar czerwony, a oni zapatrzeni w ten znak szkarłatny kroczą do zwycięstwa. Byliśmy do dziś w tyle za nimi. W krwi naszych braci niedawno wytoczonej ten szkarłat jeszcze pokraśniał, czyż mielibyśmy go opuścić? W górę to wielkie znamię! Rozpuśćcie fałdy jego szeroko! I naprzód! A każdy, kto obok niego legnie, toruje innym drogę do zwycięstwa. Naprzód, bracia! Pod tym zwyciężymy znakiem i hańba temu, kogo braknie w szeregu.

Wszyscy. Hańba!

Świstoń. Wiwat! Niech żyje Pro...

Prokop. Cicho krzykaczu! Spokoju wiecznego tutaj nie zakłócaj. Czy przyrzekacie do ostatniego tchu, do kropli ostatniej krwi, którą wam zdziercy wytoczyć mogą, wspólnie, mężnie bronić naszej sprawy?

Wszyscy. Przyrzekamy.

Prokop. Wierzę i za słowo was biorę.

Jeden z górników. Jakieś światła tu się zbliżają.

Prokop. Rozejdźcie się do domów.

Jeden z górników. Chodź z nami, Prokopie!

Prokop. Mnie czas gdzieindziej. Rozejdźcie się. */Górnicy odchodzą/*.

SCENA 4.

PROKOP. HRABIA (wchodzi).

H r a b i a. Co ty tu robisz?
P r o k o p. A ty?
H r a b i a. Jestem u siebie.
P r o k o p. Wśród trupów i mogił.
H r a b i a. To twoje dzieło, zuchwalcze!
P r o k o p. A twoje były kule, hrabio.
H r a b i a. Tyś ich podburzył.
P r o k o p. A tyś ich uspokoił na wieki.
H r a b i a. Przestań, bo nie wiesz, ile cierpię.
P r o k o p. Z braku zapasów węgla.
H r a b i a. Szydzisz?
P r o k o p. Ty, potworny człowiecze z dwoma twarzami, nie urągaj świeżym grobom.
H r a b i a. Ty zbiegu więzienny!
P r o k o p. Ty morderco!
H r a b i a. Wiesz, że mam władzę.
P r o k o p. I bagnety i łańcuchy i zgraję zbirów. A ja drwię z ciebie.
H r a b i a. Człowiecze, tyś szalony.
P r o k o p. Bezmiarem żalu i rozpaczy. Czemuś tu wcześniej nie przyszedł hrabio?
H r a b i a. Na ucztę szakali.
P r o k o p. Przebóg! Któż to krwią robotnika się karmi?
H r a b i a. Czemuż tobie usta nie zamarły?
P r o k o p. Abym tobie do śmierci był wyrzutem i świadkiem żywym twoich zbrodni.
H r a b i a. Hej, żandarmi!
P r o k o p. To twoja cała mądrość, hrabio!
H r a b i a. Żandarmi!
P r o k o p. Przyjdzie czas, że i oni słuchać cię nie będą. Przyjdzie chwila, że chciałbyś być pod ziemią i zazdrościć będziesz zabitym, ale żyć musisz i patrzyć, jak złoto, dla któregoś mordował, układać będą na wielki, wielki pomnik hańby twojej i tobie podobnych. Zawołaj teraz żandarmów!
H r a b i a. Hej, żandarmi!
P r o k o p. */Robi pogardliwy ruch ręką/.*

Z a s ł o n a s p a d a

KONIEC AKTU TRZECIEGO I OSTATNIEGO.

ZE SZLĄSKA AUSTRYACKIEGO

I.

W majowym zeszycie „Przedświtu“ tow. I. D. w zakończeniu artykułów „O bankructwie demokracyi g alicyjskiej“ dał trafny swój pogląd na obecny stan sprawy narodowej we wschodniej części Szląska, a mianowicie w ks. Cieszyńskiem. Ponieważ w czasach ostatnich sprawa szląska jest na porządku dziennym, głównie z powodu gimnazyum polskiego w Cieszynie, którego społeczeństwo jakoś doczekać sio nie może, nie bez korzyści będzie, gdy ze swej strony uzupełnię podany przez tow. I. D. szkic bardziej wyczerpującem sprawozdaniem. Nie taję przed sobą, że jest to zadanie dosyć trudne wobec gmatwaniny stosunków tutejszych, w których dotychczas nie zdołałem się jeszcze dostatecznie rozpatrzyć. Mam nadzieję jednak, że i ta garść spostrzeżeń i faktów, jakie podam, zdoła zainteresować czytelników „Przedświtu“ i wzbudzi w niejednym chęć zapoznania się bliższego z tym zakątkiem kresowym.

Przedewszystkiem zastrzedz należy, że będę mówił wyłącznie o wschodniej części Szląska austryackiego, to jest o ks. Cieszyńskiem, zamieszkanem przeważnie przez ludność rdzennie polską, a oddzielonem od części zachodniej czyli opawskiej wrzynającym się klinem Moraw. Ks. Cieszyńskie obejmuje $41_{,47}$ mil □ (cały Szląsk blisko 94) i liczyło w r. 1890 przeszło 300.000 mieszkańców (cały Szląsk 605.000), czyli na milę kw. — 7.232. W niektórych zaś okolicach księstwa cyfra ta wzrasta do 12 a nawet 15 tysięcy ludzi. Co do *narodowości* ludność składa się z 177.418 polaków, 73.897 czechów oraz 41.714 niemców. Polacy więc stanowią $60_{,5}$ % ludności ks. Cieszyńskiego. W zachodniej części Szląska według wykazów urzędowych niema polaków więcej nad 1.500 osób. Nadmienić należy, iż spisu ludności dokonywują urzędnicy, niemal wyłącznie niemcy lub czesi, którzy tendencyjność przy tem posuwali nieraz zbyt daleko. Naprz. N. N. urodził się w miejscowości X. w Galicyi, zapisany jest do ludności stałej w mieście Y. w Galicyi, lecz przy spisie uznany jest za czecha. O rodowitych szlązakach znaleść można takie same dowody. Rozumie się, w miarę większego rozbudzenia świadomości narodowej wśród polaków takie dziwolągi zdarzać się będą coraz rzadziej, i tem się właśnie tłomaczy, dlaczego od r. 1880 do 1890 liczba polaków wzrosła o 15 %, podczas gdy czechów przybyło zaledwie 3 %, z powodu czego w roku zeszłym „Narodni Listy“ zadzwoniły na alarm, krzycząc, że czeskie wsie się polszczą.

Podług *wyznania* ludność księstwa dzieli się na: 215.956 katolików, 77.077 ewangelików i 7.070 żydów, którzy prawie bez wyjątku zaliczają się do niemców i stanowią, zwłaszcza bardziej zamożni. nader wrogi dla ludności polskiej element.

Niemcy najsilniejszą pozycyę zajmują w starostwie Bielskiem, gdzie oprócz samego miasta zamieszkują kilka gmin wiejskich na pograniczu z Galicyą, poza tem znajdują się oni tylko w miastach, z których Cieszyn na 17.000 mieszkańców liczy ich blisko połowę, w tem jednak główny zastęp tworzą mieszczanie pochodzenia polskiego, tylko zniemczeni przez szkoły od wielu lat prowadzone w duchu germanizacyjnym. Za czeską uważaną jest ludność okręgu sądowego Fryděckiego, która właściwie mówi narzeczem przechodniem pomiędzy polskim i morawskim językiem. Najbardziej jednak zaostrzone są stosunki pomiędzy czechami i polakami w starostwie Frysztackiem, gdzie sztuczna lecz nie liczebna przewaga czechów podtrzymywana jest przez napływowy żywioł czeskich urzędników, zatrudnionych przy kopalniach; pomimo to przy wyborach do sejmu czy rady państwa okręg ten zwykle okazuje największą solidarność, jak to objaśnią np. poniższe cyfry z r. 1885. Kandydat polski ks. Świeży otrzymał wtedy w tym okręgu głosów 117, przeciwnik Obratschay, kand. niemiecko-liberalny, tylko 23, podczas gdy w takim okręgu cieszyńskim pierwszy miał 138, drugi — 76, zaś w okręgu bielskim pierwszy — 75, drugi — 79.

Ludność polska pracowita, łagodnego i powolnego usposobienia, ale wytrwała, tylko wiekowym uciskiem przygnębiona, zamieszkuje całe księstwo z wyjątkiem okolic powyżej wymienionych, zajętych przez czechów i niemców. Zajmuje się rolnictwem po wsiach, rzemiosłem po miastach, nadto stanowi przeważną część elementu robotniczego w fabrykach i hutach oraz kopalniach węgla. Dopiero w ostatnich czasach wytwarza się zpośród niej rodzaj burżuazyi rodzimej, przeważnie rolniczej, średnio-zamożnej. Cały zaś przemysł, handel i wielka własność spoczywają w rękach żywiołu niemiecko-żydowskiego, który też tworzy główny zastęp inteligencyi, zajmującej większość posad urzędniczych. Blisko trzecia część całego księstwa, bo 12 mil □, jest własnością obecnie arcyksięcia Fryderyka, który odziedziczył te dobra po stryju swoim Albrechcie, zmarłym przed kilku miesiącami. Do niego należą też liczne w kraju fabryki, huty żelazne w Ustroniu i Trzyń-

cu, kopalnie węgla w okręgu karwińskim itd. Urzędnicy arcyksiężący są głównie niemcy, po części czesi, wyjątkowo polacy, lecz wszyscy zarówno dla ubogiej ludności polskiej, tak rolnej, jak robotniczej, są jawnie nieprzyjaźni, co zwłaszcza podczas wyborów dotkliwie daje się odczuwać. Według spisu z r. 1880 z ogółu mieszkańców żyło z przemysłu i rzemiosł 102.771, to jest $38._{27}$ %, zaś 143.020 — z rolnictwa ($53,_{26}$ %), obecnie śmiało liczyć można, że procent pierwszych podniósł się ponad 40. Już ta jedna liczba wskazuje, że ks. Cieszyńskie należy do krajów, wysoko pod względem przemysłowym rozwiniętych. Produkcya węgla kamiennego w całym okręgu cieszyńskim w roku 1892 wynosiła 36.935.416 centnarów metr., wartości 13 milionów złotych reńskich. Robotników przy tem zatrudnionych było przeszło 22.000. Pod względem też kultury rolnej księstwo o wiele wyżej stoi od sąsiedniej Galicyi. Jednocześnie wszakże, wbrew burżuazyjnej ideologii, z rozwojem tym podąża wzrost nędzy w niższych warstwach społecznych, co może być dziwnem dla tych, co dużo się nasłuchali o „zamożności“ ludu szląskiego w Cieszyńskiem. Nie mówiąc już o rzekomych dostatkach i roskoszach tysięcy zagrodników, chałupników i „wymowników“ z równin, wyzyskiwanych i wywłaszczanych przez arcyksiążęcych lub hrabiowskich (hr. Larisch) dzierżawców i rządców, dość zajrzeć do zagród w górskich okolicach księstwa, aby to miłe złudzenie prysło w jednej chwili.

Pod względem oświaty ludowej, ks. Cieszyńskie, jak wiadomo, stoi bezporównania wyżej od Galicyi. W roku 1890 z ogółu ludności księstwa (300.150) nie umiało ani czytać ani pisać 77.972 osób, a zatem $23,_{58}$ %. W r. 1880 procent analfabetów wynosił $28,_{05}$ %, dość znaczny więc jest postęp. Według sprawozdania Szkolnej Rady Krajowej szkół ludowych było ogółem 226, z tego 148 tz. polskich, 52 czeskich, 14 niemieckich, reszta przypada na mieszane; z dzieci w wieku szkolnym uczęszczało do szkół 98 %. Tak zwane polskie szkoły, czyli z polskim językiem wykładowym, ale tylko w niższych oddziałach, istnieją po wsiach, zaś po miastach są szkoły *wyłącznie niemieckie*, choć ludność polska stanowi w nich większość lub poważne mniejszości. W niektórych gminach są szkoły czeskie, choć ludność mówi po polsku. Taki np. Getwałd liczy polaków 3.462, niemców 211, czechów tylko 269, a pomimo to w szkole wykład odbywa się po czesku. Jest to jeszcze pozostałość z lat dawnych, kiedy język czeski panował wszechwładnie w tutejszych gminach katolickich, tak w szkole, jak w kościele, a także i urzędzie. Stopniowo jednak ludność polska pozbywa się tej obcej skorupy. Nauczyciele ludowi pobierają wykształcenie w zupełnie niemieckich seminaryach, w Cieszynie i Bielsku. Utrzymywana kosztem kraju niższa szkoła rolnicza w Kocobędzu jest również czysto niemiecka, profesorowie jej ani słowa po polsku nie umieją.

Dwa gimnazya i dwie szkoły realne również charakter niemiecki noszą; tylko w Cieszynie wykładany jest język polski przez polaków, ale jako przedmiot nieobowiązkowy, w sześciu godzinach tygodniowo dla dla całego zakładu (1, 2 i 3 klasa *razem* 2 godz.; 4, 5 i 6 klasa 2 godz.; 7 i 8 kl. — 2 godziny). Łatwo zrozumieć, jaka korzyść z tej nauki, to też nie doprowadza ona nawet do poprawnego pisania, czytania i mówienia po polsku. W r. 1892/3 gimnazya w Cieszynie i Bielsku liczyły uczniów 314 i 317, razem 631, szkoły realne 232 i 268, razem 500. Z gimnazistów było jakoby 422 niemców (z żydami), 176 polaków, 29 czechów i 4 innych narodowości. W dwóch szkołach realnych było 332 niemców (z żydami), 149 polaków, 17 czechów i 5 innych narodowości. W gimnazyach $41,_{04}$ % uczniów było synami kupców lub przemysłowców, synami urzędników było $31,_{53}$, zaś rolników było tylko $9._{2}$ %. Odpowiednie cyfry dla szkół realnych wynoszą $44,_{01}$ %, $35,_{71}$ % i $13._{49}$ %.

Z żeńskich zakładów zasługuje na uwagę szkoła kilkoklasowa, utrzymywana w Cieszynie przez kongregacyę Sióstr Boromeuszek, które tu lud nazywa „pannami pruskiemi“, ponieważ je wypędzono z pruskiego Szląska. Mają one sławę nietylko tutaj, ale i w Galicyi, a nawet w Królestwie, na ile zasłużoną, nie wiem, ale to faktem, że dzielnie germanizują. Mają podobno od nowego roku wprowadzić obowiązkową naukę języka polskiego, zapewne z obawy, aby tu nie zjechały polskie zakonnice z Galicyi lub Poznańskiego. Czy to zrobią, wątpię.

Pod względem kościelnym ks. Cieszyńskie należy do dyecezyi wrocławskiej, co dla interesów ludności polskiej jest stanowczo niedogodne i mocno szkodliwe, bo tą drogą otwiera się przystęp prusofilskim tendencyom i wzmaga germanizacyjne prądy wewnątrz kraju. Duchowieństwo katolickie odbiera wykształcenie w seminaryum ołomunieckiem, gdzie ulega wpływom czeskoniemieckim, ewangelickie zaś kształci się w Wiedniu, lub na uniwersytetach niemieckich.

Stosunki autonomiczne wiele też do życzenia pozostawiają. Rad powiatowych na Szląsku nie zaprowadzono dotychczas, w obawie, aby nie wziął w nich przewagi żywioł słowiański, to jest polski — w księstwie. Do sejmu wybiera księstwo czterech posłów z gmin wiejskich, z miast także czterech. Z tych mandatów tylko 3 jest w rękach polskich (ks. Świeży, dr. Michejda, adwokat, Cieńciała, rolnik), na 31 posłów, zasiadających w sejmie krajowym. Do Rady państwa z gmin wiejskich wybiera ks. Cieszyńskie tylko jednego posła i tym właśnie jest również ks. Świeży. Z miast wybiera dwóch posłów. Dzięki znanej „geometryi“ przy urządzaniu okręgów wyborczych, która na Szląsku umiejętnie jest wyzyskana w interesie żywiołu niemieckiego, nie wyjdzie prędzej z miast poseł narodowy, aż chyba po zupełnej reformie prawa wyborczego.

Czasopism polskich wychodzi w księstwie 6. Najstarsze, od roku 1848 wychodzące pismo tygodniowe „Gwiazdka Cieszyńska“, od kilku lat jest organem „Związku katolików szląskich“. Ma prenumeratorów około 1.400. Dwutygodnik „Przyjaciel ludu“ jest treści religijnej, dla ewangelików. Także dwutygodnik „Rolnik szląski“ jest organem Towarzystwa rolniczego. Wychodzi z dodatkiem „Przegląd polityczny“. Wreszcie „Nowy czas“ z „Dodatkiem rolniczym“ jest prowadzone w duchu czysto niemieckim przez d-ra Haasego, superintendenta ewangelickiego. Ostatnie pięć pism mają po kilkuset prenumeratorów. Oprócz tych wychodzi codzień „Silesia“ w języku niemieckim i czeskie „Noviny Tesinske“, 3 razy na miesiąc.

Oto jest możliwie treściwy rys stosunków obecnych w ks. Cieszyńskiem. Stan taki trwa wszakże mniej więcej już od lat 28, to jest od czasu nadania ustaw zasadniczych, które miały zapewnić najzupełniejsze równouprawnienie wszystkim narodowościom, wchodzącym w skład monarchii czarno-żółtej. Co polacy szląscy przez tyle lat wywalczyli? Czy położenie ich pod względem narodowym i politycznym polepszyło się od tego czasu i na ile? Czy świadomość ludu polsko-szląskiego wzrosła przez ten czas? Czy dobrobyt jego się podniósł? Oto są pytania, które się tutaj same nasuwają i na które odpowiedzieć się postaramy.

Podane powyżej szczegóły i daty statystyczne służyć nam będą za rodzaj tła, na którem przedstawimy obraz działalności szląskich narodowców, trudności, jakie napotykali, rejestr rezultatów ujemnych i dodatnich, do jakich doszli, wreszcie zachowanie się w sprawie szląskiej prasy i społeczeństwa polskiego, które, nie obwijając rzeczy w bawełnę, dotychczas jeszcze ma bardzo niedokładne wyobrażenie o stosunkach na Szląsku, a w wielu szczegółach wprost fałszywe. Dlaczego tak

jest, wyjaśni się to w dalszym ciągu tego szkicu, który może będzie pierwszą próbą publicystyczną, mającą na celu wykazać, że wszelkie zachwyty i egzaltacye z powodu „odrodzenia“ narodowości polskiej w ks. Cieszyńskiem nie mają wielkiej racyi w chwili obecnej, stwierdzającej wymownie, że *pod wielu względami* daje się zauważyć ogromny zastój, że odrodzenie Szląska Cieszyńskiego dzięki pewnym czynnikom powstrzymane zostało już od lat wielu i że, jeżeli jest tu i owdzie postęp jakikolwiek, zawdzięczać to należy usiłowaniom lat dawniejszych.

. . . .

Słusznie zaznacza w swoim artykule towarzysz I. D., że dla patryotów polskich na Szląsku zadanie przedstawiało się bardzo prostem i droga, na jaką powinni byli wkroczyć, wyraźnie wskazaną. Z jednej strony lud wiejski, w ostatnich dopiero czasach różniczkujący się ekonomicznie, oraz liczny proletaryat rzemieślniczy i fabryczny, obie te kategorye ludności prawie wyłącznie polskie, — z drugiej strony, wszystko co stało wyżej na drabinie społecznej, — niemieckie lub zniemczałe i hołdujące niemczyźnie z wyrachowania lub głupoty, stojące względem ludu polskiego w jaskrawem przeciwieństwie — oto sytuacya tego rodzaju, że żaden szczery patryota nie może się ani chwili namyślać, po czyjej stronie stanąć mu należy i jakiego programu się chwycić, aby jaknajlepiej odpowiadać interesom tej ludności upośledzonej i całej wreszcie Polski. Lecz niestety patryoci w ks. Cieszyńskiem działający z małymi wyjątkami zadania tak prostego zrozumieć nie umieli lub nie chcieli — i poszli całkiem błędną drogą.

Do tych nielicznych a chlubnych wyjątków należał przedewszystkiem Paweł Stalmach, założyciel „Gwiazdki Cieszyńskiej“ w r. 1848. którą prawie bez przerwy redagował niemal do samej śmierci. Syn prostego chałupnika z okolic Cieszyna, wyniósł z pod dachu rodzinnego miłość do ludu i nigdy, w najprzykrzejszych nawet okolicznościach życia, nie wyparł się wspólności z nim, broniąc go od przewagi niemieckiej i rozbudzając w nim świadomość narodową. Był gorącym patryotą i szczerym ludowcem. Że nie był socyalistą, że oświadczał się zawsze przeciwko socyalizmowi i komunizmowi, o to nie można mieć do niego pretensyi — z wielu względów. Przedewszystkiem dlatego, że należał już do starszego pokolenia, które o socyalizmie miało bardzo mętne pojęcia, zresztą zaś, będąc prawie odosobnionym w swej działalności a przeto wystawionym na pierwszy ogień ze strony nieprzyjaciół, unikał zbytniego akcentowania przeciwieństw klasowych, żeby nie ściągnąć na siebie i na pismo dotkliwszych jeszcze prześladowań. Nie było to tchórzostwo wcale, obawa o swoją wyłącznie skórę, lecz wypływało z przekonania, iż gdyby jego samego działalność i wpływ sparaliżowano, pogrzebałoby to sprawę narodową na długie lata. Zaznaczę, że miał kilka procesów prasowych i parokrotnie odsiadywał kozę.

Powiedzieliśmy, że Stalmach był wyjątkiem pomiędzy patryotami szląskimi, czyli, jak się uznali za właściwe nazywać, — narodowcami. Trudno się na to nie zgodzić, jeżeli się wniknie w dzieje ostatnich lat trzydziestu kilku, mniej więcej od 1860 r., to jest od chwili, gdy po dziesięcioletniej reakcyi znowu w Austryi zawiał prąd wolniejszy. Wyrazem tego zwrotu dla ks. Cieszyńskiego było otworzenie „Czytelni ludowej“ w Cieszynie, która rokowała w początkach jaknajlepsze nadzieje i mogła była rzeczywiście Szląsk odrodzić, gdyby od samego jej założenia żywioły egoistyczne, umysłowo ograniczone i antinarodowe nie sprzysięgły się na jej zgubę. Wypowiedziały one wojnę Stalmachowi, któremu Czytelnia ta zawdzięcza swoje powstanie i który w jej obronie do samej prawie śmierci ucierał się ze zgrają pseudonarodowców. Jak obszerny ona miała zakres działania, to wskazuje dokładnie § 2 jej statutu, który opiewa: „Do osiągnięcia swego celu dążyć będzie Czytelnia przez utrzymywanie stałego *lokalu* na zebrania, zaopatrzonego w *czasopisma* polskie i w innych językach, przez utrzymywanie i powiększanie *księgozbioru*, urządzanie *zabaw, wycieczek, przedstawień teatralnych, koncertów, odczytów, obchodów* narodowych, pielęgnowanie *muzyki i śpiewu, wydawnictwa* popularne itd.“ Czyż można jeszcze coś dodać do tego? Wszakże to obejmuje cały obszar nietylko życia towarzyskiego, ale narodowego w dość szerokich ramach. Lecz niestety bogaty ten program nawet w najpomyślniejszych epokach nie był w setnej części wypełniony.

Stalmach marzył o tem, aby w Czytelni jednoczyły się wszystkie sfery towarzyskie, tak lud wiejski, jakoteż i mieszczanie cieszyńscy. Było tak rzeczywiście, ale niedługo. Garstka inteligencyi miejscowej, wziąwszy się za ręce z niektórymi zamożniejszymi siedlakami (chłopami) ewangelikami, utworzyła zamkniętą koteryę, która postarała się odstręczyć przedewszystkiem sferę drobnomieszczańską m. Cieszyna, wyłącznie katolicką, i następnie na każdym kroku żywszym objawom życia opór stawiać. I dopięli swego, bo istotnie Czytelnia z małymi wyjątkami od r. 1865 znajduje się w stanie większego lub mniejszego niedomagania. Jak widzimy, początki złego wypłynęły z różnicy położenia towarzyskiego a także z odmienności wyznania. Drobnomieszczaństwo cieszyńskie, złożone z kupców i rzemieślników, wtedy jeszcze polskie, raz zrażone, już więcej do czytelni nie wróciło i przeszło stopniowo do obozu niemieckiego, garść zaś inteligencyi miejscowej, nawet wsparta choćby paru dziesiątkami chłopów ewangelickich, nie umiała już wynagrodzić wyrządzonej krzywdy i traciła odtąd czas na wzajemnych intrygach, które paraliżowały najzacniejsze usiłowania szczerych patryotów, a między nimi i całą działalność Stalmacha.

Stalmach, widząc kłopoty, jakie Czytelnia miała z lokalem i przewidując, że z rozwojem życia narodowego powstaną inne towarzystwa, które będą potrzebowały również jakiejś siedziby, powziął wtedy myśl budowania „domu narodowego“, gdzie by wszelkie takie instytucye pomieścić się mogły, a między niemi i sala na teatr i szkoła polska. Idea ta nie znalazła wtedy uznania i Stalmach musiał ją odłożyć do lepszych czasów. Po roku 1870, w okresie spekulacyi giełdowych, które zakończyły się pamiętnym krachem wiedeńskim, w gronie tej samej kliki, acz ze zmienionym nieco składem osób, odezwała się żyłka spekulacyjna, która długo nie mogła sobie znaleść właściwego ujścia, aż nareszcie odgrzebawszy ideę Stalmacha „Domu narodowego“ klika ta chwyciła się jej i ogłosiła światu, jako projekt swój własny w formie spółki handlowej pod nazwą „Bazaru Cieszyńskiego“.

Na czele jako firmowi spólnicy stanęli pp.: Jan Glajcar z Sibicy, Folwarczny z Mostów, obaj właściciele posiadłości rolnych, Józef Klebinder, kupiec z Cieszyna, Ignacy Żółtowski, „obywatel“ z Krakowa i Sp. Początki były dość pomyślne, sam Stalmach, pomimo że nie miał zbytniego zaufania do ludzi, którzy tem się zajęli, raz się już na nich sparzywszy, wszakże nie odmawiał swej pomocy i o ile mógł przedsiębiorstwo to w swej „Gwiazdce“ zalecał. Lecz niedługo to trwało. Wkrótce się przekonał, że wielu z założycieli traktuje całą tę sprawę w sposób zupełnie niewłaściwy. Przedsiębiorstwo natury czysto handlowej a nawet spekulacyjnej nazywali oni „narodowem“, i w imię dobra ojczyzny nawoływali społeczeństwo do popierania go, w przesadnych barwach malując nadzwyczaj błogie skutki, jakie z niego dla Szląska miały wypłynąć, jak przez nie żywioł polski się wzmoże, jak dalszy bieg spraw narodowych od poparcia tego przedsię-

wzięcia zależy itp. handlarskie frazesy. Panom tym na pomocy Stalmacha wiele zależało. Należał on do ludzi popularnych w całej niemal Polsce dzięki swoim osobistym przymiotom i stanowisku wytrwałego strażnika kresowego, jakie od tylu lat zajmował. Żądano od niego w sprawie „Bazaru“ poświęceń nadzwyczajnych a odpłacano mu najczarniejszą niewdzięcznością. Gdy mu wreszcie uczyniono zarzut „zdrady“ interesów narodowych i zaczęto w pismach galicyjskich szkalować jego dobre imię za to tylko, że nie chciał nadal swojem nazwiskiem osłaniać spraw niezupełnie czystych, — zerwał zupełnie wszystkie węzły z „Bazarem“ go łączące, znękany i rozgoryczony do tych pseudopatryotów, o szerokich gębach i kieszeniach, lecz ciasnych mózgach.

Panowie ci wypowiedzieli mu za to zażartą wojnę, mszcząc się na każdym kroku i psując wszystko, cokolwiek Stalmach budować rozpoczynał. Walka ciągnęła się bardzo długo, a skutki jej dotychczas są widoczne. „Bazar Cieszyński“ po usunięciu się Stalmacha istniał jeszcze czas jakiś, ale niczego nie dokonawszy skonał sromotnie. Wsiąkło w niego kilkadziesiąt tysięcy złotych reńskich, parę przedsięwzięć, jakie rozpoczął, wykazały albo krańcowe niedołęstwo, albo bezmiar złej woli i oszustwa, co rzuciło niezmytą niczem plamę na honor handlowy polaków na Szląsku. Kierownicy „Bazaru“ nawet nie mieli na tyle uczciwości i odwagi, tyle poczucia obowiązku, aby przed społeczeństwem wyznać swoją winę i złożyć mu jakiekolwiek rachunki. Ba! oni sobie nawet nie robili skrupułów z uczestnikami spółki, którzy powierzali im swoje pieniądze, nieraz ciężko zapracowane. Nietylko, że ci wszyscy potracili swoje udziały, ale jeszcze żądano od nich, żeby za straty dopłacili, lecz żadnemu z nich nie przedstawiono dowodów, jak właściwie interes cały poszedł, jakie mianowicie są straty, i kto wedle statutów obowiązany je pokrywać. Że prokurator w tę mętną sprawę nie wejrzał, jest to dla mnie niezrozumiałem. a że było tam coś bardzo brudnego, to nietylko dowodzi opinia publiczna, dotychczas wzdrygająca się na wspomnienie tego krachu, ale też i taki na pozór drobny szczegół, że w kilku egzemplarzach „Gwiazdki“ z r. 1874, jakie niedawno przeglądałem, karta, na której wydrukowano pierwotny kontrakt tej spółki, była wydarta.

Tak się zakończyło to przedsiębiorstwo „narodowe“, które miało zbawić Szląsk austryacki! Kierownicy spółki usprawiedliwiali się przed ogółem obłudnem zdaniem: „No, cóż my winni? Każdemu może się przytrafić takie nieszczęście, a wreszcie trzeba wziąć pod uwagę trudne warunki, w jakich działaliśmy“ etc. Całe odium niepowodzenia spadło na biednego Stalmacha. Pomiędzy datą upadku „Bazaru“ a końcem ósmego lat dziesiątka toczy się ta smutna walka. Stroną zaczepną jest prasa krakowska z „Czasem“ na czele poza którą kryje się klika „bazarowa“, stroną broniącą się jest Stalmach z „Gwiazdką Cieszyńską“. Jak ohydną rolę w tej walce odegrały dzienniki krakowskie, opowiemy później; na zakończenie niniejszej części artykułu podamy kilka szczegółów, malujących położenie ekonomiczne ludu pracującego na Szląsku w epoce tej samej, gdy cieszyńscy pseudopatryoci nie mieli nic lepszego do roboty, jak wyłudzać pieniądze od łatwowiernych na wątpliwej wartości przedsiębiorstwa.

Było to w tym samym czasie, gdy dzięki agitacyi „Gwiazdki“ wysłano deputacyę z ludu z petycyą, opatrzoną tysiącami podpisów, a żądającą równouprawnienia językowego w urzędzie, szkole i kościele. Wiadomo zaś było, co wtedy Jireczek, minister oświaty, odpowiedział tej deputacyi: „*Sprawiedliwość* wam powinna być wymierzona, ale pamiętajcie o tem, że *jest ona tylko dla tych, którzy jej szukają, a nie dla tych, którzy śpią*“. I wiadomo było panom „bazarowym“, że naciskiem z góry zmuszano ludność polską do podpisywania kontrpetycyi, którą wkrótce potem wysłano do Wiednia, dzięki staraniom niemieckiego „Vereinu“ w Cieszynie i Bielsku. I wiadome im były między innymi takie fakty, jak ten naprz., że arcyksiążęcy hutmistrz w Trzyńcu p. Obtułowicz (galicyanin) pod grozą usunięcia z fabryki lub wyrugowania z domków zmuszał robotników do podpisywania tego wyroku śmierci na siebie.

Było to w tym samym czasie, gdy na Szlasku pruskim dzięki agitacyom Karola Miarki odbywano jeden wiec za drugim, na których gromadziły się tysiące ludu i na których z nieopisanym zapałem uchwalano rezolucye, mające na celu poprawę bytu ludowego. Ale prawda! Miarka za to na ciężkie narażał się prześladowania, więcej czasu spędził w więzieniu, niż na wolności i nadwerężył sobie przez to zdrowie. Panowie pseudopatryoci z Cieszyna dogodniejszą dla siebie wybrali drogę. Oni woleli rozbudzać świadomość ludu za pomocą przedsięwzięć handlowych i wyłudzania pieniędzy. A było to w tym samym czasie, gdy polscy górnicy w okręgu karwińskim, ciężko pracujący pod ziemią prawie dzień i noc bez przerwy, brali za to po większej części 40 centów, a wyjątkowo tylko niektórzy 60 lub 65 centów dziennie. A nadto byli bez litości maltretowani przez urzędników, sprowadzanych wtedy przeważnie z Prus. Czy panowie „bazarowi“ nie wiedzieli nic o tem, że ciągłe tam były z tego powodu zajścia a czasami, gdy cierpliwość się wyczerpała, przychodziło do poważnych zaburzeń, uśmierzanych żandarmami i wojskiem? Czy nie wiedzieli o tem, że młodzież płci obojej, ledwie szkołę porzuciła, wnet szła do fabryki i kopalni, aby tracić przedwcześnie zdrowie i dziczeć moralnie i umysłowo? Czy mogli nie wiedzieć o tem, że w centrach fabrycznych liczba dzieci nieślubnych dochodziła do 50 i 60 % wszystkich nowonarodzonych, podczas gdy w okolicach czysto rolniczych cyfra ta nie przechodziła nigdy poza 10 %? Co ci panowie zrobili dla oświaty i umoralnienia ludu? Doprowadzili do upadku Czytelnię ludową w Cieszynie. A to w tym samym czasie, gdy niemcy w 1872 r. założyli w Cieszynie „towarzystwo dla kształcenia wyrobników“, które miało spełniać swoje zadanie za pomocą niemieckich wykładów popularnych, wypożyczania bezpłatnie książek niemieckich, niemieckich śpiewów i zabaw etc. Że nie wielkie wyniki towarzystwo to osiągnęło, to łatwo zrozumieć, ale właśnie trzeba było skorzystać z tego przykładu i założyć podobne towarzystwo z językiem polskim.

A jaki był wtedy stosunek komory arcyksiążęcej do ludu wiejskiego? Czy rzeczywiście tak się lud miał dobrze, jak zawsze zapewniali owi szląscy narodowcy i dziś jeszcze śmią zapewniać? Oto są fakty. W okolicy Skoczewa, w dobrach arcyksiążęcych, według urzędowego zaświadczenia gminy Wilamowice tak mężczyźni, jak kobiety, mają całorocznie jednaką zapłatę po 12 krajcarów dziennie. Podobnież świadczy urząd gminy Pogorz. „Przy drogich środkach żywności — skarży się gmina — płaca ta ledwo starczy na najlichsze pożywienie dla jednego, a gdzie na przyodziewek, komorne i dla reszty rodziny? W innych wsiach mają robotnicy po 12 do 16 krajcarów, w czasie żniw po 20, 25 do 28 krajcarów, przytem po kawałku pola na swoje potrzeby, ale za to muszą *mocka* (dużo) płacić, a jeszcze ich zobowiązują, aby gdzieindziej na zarobek nie chodzili. Robotnicy u siedlaków (chłopów — gospodarzy) mają po 10 krajcarów dziennie z jadłem 3 razy dziennie (co razem czyni 40 kr.), przytem tanie pomieszkanie i inne wygody. A robotnicy arcyksiążęcy skarżą się na brak pomieszkań; niektórzy w jamach podziemnych mieszkania sobie zakładają. Użytkowanie z pastwisk arcyksiążęcych kosztuje od 2 do 3 złr. rocznie i to za takie nędzne kąseczki, które dla wla-

ściciela nie mają żadnej wartości. Płaci się za nie nie gotowizną, lecz odrobkiem w polu lub gumnie po cenie 14 do 16 krajcarów za dzień cały. A więc, żeby odrobić należy komorze pracować od 14 do 20 dni bez wynagrodzenia! Prośby o wydzierżawienie lub odprzedanie kawałka gruntu arcyksiążęcego nie odnoszą skutku; przeciwnie, komora skupuje mniejsze posiadłości, tak, że zachodzi wśród siedlaków obawa, że doprowadzi to z czasem do nowego poddaństwa. Gdy się na to skarżyli, zarzucano im, że ich buntują „ruscy popi“ (?!)

W innem miejscu urząd gminny żali się: „Chłop dostanie na krótkim dniu 18 krajcarów a na dłuższym 20 krajcarów; w żniwa z kosą 25 kr., a kobiety od od 14 do 16 kr., tak nijako wyżyć nie *lza*. A znajdzie się jaka chałupka, co by ją mógł ten biedniejszy kupić, to zaraz państwo (komora) kupi, bo już mają 19 numerów zakupionych, a tam dali komorników, a ci biedni muszą pracować państwu, a płacą im wiele sami chcą“. W tym samym roku (1869) pod Samborem w Galicyi płacono w czasie żniw 40 do 50 kr. i 2 kieliszki wódki, w Sanockiem podobno nawet 60 kr. A więc w osławionej pod tym względem Galicyi płacono wtedy robotnikom rolnym więcej, niż w majątkach arcyksięcia Albrechta na Szląsku. słynnych z wysoko posuniętej kultury. Czy cieszyńscy pseudopatryoci również o tem nie wiedzieli, wątpić można.

Inni potentaci kapitału w ks. Cieszyńskiem też nie dawali lepszych warunków istnienia ludowi polskiemu, który dla nich ofiarowywał resztki sił i zdrowia. Powiemy tu parę słów o Bielsku i Białej. W owym to czasie, gdy cieszyńscy działacze narodowi przemyśliwali nad „Bazarem“, większa część robotników w tym centrze fabrycznym pobierała 25, 30 do 40 centów dziennie za pracę w najgorszych warunkach sanitarnych, od 5-ej rano do 9-ej wieczór! Nic dziwnego, że po całych tygodniach i miesiącach nic ciepłego w ustach nie mieli. Jakież to życie było tych nieszczęśliwych nędzarzy! Na początku maja 1872 r. rozeszła się między robotnikami złowroga pogłoska, że fabrykanci z powodu pewnej stagnacyi zamierzają i ten mizerny zarobek jeszcze zmniejszyć lub znaczną część robotników wydalić. Rozpacz ogarnęła robotników. Bynajmniej nie podburzani przez nikogo, a tem mniej przez socyalistów, o których wtedy w Bielsku słychać nie było, postanowili wtedy strejkować i żądać podwyższenia płacy i skrócenia dnia roboczego. Nazajutrz po uchwale większa część fabryk stanęła, bo robotnicy do roboty nie zgłosili się. Natomiast tłumnie przeciągano ulicami i wybijano szyby w fabrykach, mieszkaniach właścicieli i w restauracyach i kawiarniach, bardziej uczęszczanych przez fabrykantów i kupców. Wdzierano się nawet do wewnątrz i w rozdrażnieniu łamano meble, lecz widocznie był jakiś kierunek, bo fabryki, lepiej opłacające robotników, oszczędzano od pogromu. Następnie wyruszono poza miasto i obozowano przez dni parę w pobliskich Mikuszowicach. Ściągnięte zewsząd wojsko dało do nich trzy salwy: padło 2 zabitych i kilkudziesięciu rannych, z których wielu potem umarło. Rozpoczęto robotników aresztować, przyczem znęcano się niemiłosiernie; naprz. jednemu skrępowanemu uwiązano sznur u szyi i tak wleczono go przez ulice, nie żałując razów. Niektórzy „obywatele“, zemstą powodowani, osobiście dokonywali aresztów. Fabrykant Neumann do rozpędzenia gromadki robotników użył sikawki z *gorącą* wodą. Za głównych podżegaczy uznano 14 robotników, z których tylko 3 władało językiem niemieckim. Skazano ich na dłuższe lub krótsze więzienie

Na krótko przed rozruchami tymi były zaburzenia w Witkowicach pod Ostrawą Morawską z powodu zatrzymania przez zarząd fabryczny części należnej zapłaty. Oburzeni robotnicy wpadli do kancelaryi, zniszczyli wszystkie pisma i rachunki i złupili kasę. Żandarmerya raniła kilku, 130 aresztowała. Z podobnych przyczyn prawie w tym samym czasie było zajście na Szląsku pruskim, niedaleko granicy, w Raciborskich Kuźnicach. Zabito 4 ludzi, raniono 50, aresztowano 100.

Takie były stosunki, gdy narodowcy cieszyńscy mieli złożyć egzamin ze swego patryotyzmu. I złożyli go; ale ci wszyscy, którzy nie w gębie, lecz w sercu patryotyzm noszą i zgodnie z tem postępują, powinni byli już wtedy sprawę szląską zbadać na miejscu w Cieszynie i wypracować program działalności, a nie pozwalać się wodzić za nos i tumanić frazesami patryotycznymi, z poza których wyzierał najohydniejszy egoizm. A przedewszystkiem nie należało pozwalać, aby Stalmacha, jedynego człowieka, który sprawę narodową istotnie podtrzymywał, hańbiono w ten sposób, jak to czyniły dzienniki krakowskie, zwłaszcza w roku 1885, kiedy wyprawiały prawdziwe orgie najbezwstydniejszych kłamstw i potwarzy, skierowanych przeciwko niemu.

W tym samym czasie w rewirze karwińskim zaszły dwie straszne katastrofy kopalniane, które były jaskrawem świadectwem, że się bardzo źle dzieje w tem „państwie“. Oto w marcu tegoż roku w szybie Jana u hr. Larischa nastąpił wybuch gazów, który zabrał przeszło 110 ofiar w zabitych, nie licząc cięższej lub lżej rannych. Dla 44 wdów i 97 sierot, pozostałych po nich, kasa górnicza wyznaczyła *miesięcznie tylko po 200 złr.*, albowiem większa ich część nie miała jeszcze 5 lat służby. A zatem na 1 osobę nie wypadło nawet po 1_{50} złr. wsparcia! W 3 tygodnie potem nastąpił drugi wypadek w Dąbrowej u bar. Rothschilda, gdzie stało się ofiarą sześćdziesiąt kilka osób. Każda rodzina po zabitym otrzymała 200 złr. jednorazowego wynagrodzenia! Cieszyńscy narodowcy zapewne dziwili się wdowom i sierotom, że nie skakały z radości po otrzymaniu tak wspaniałego daru od dobrotliwego pana barona. A możemy zaręczyć, że nie tyle interesowali się ich losem, jak tem, czy dużo z tych wdów zgłosi się z tą kwotą do istniejącego już od lat kilku Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek, instytucyi „narodowej“, przez nich kierowanej....

W następnym numerze dostarczymy więcej dowodów na to, jak szkodliwym był dla rozwoju życia narodowego wpływ tej koteryi cieszyńskiej, która zatruła i zaiprawiła ruch cały, tak piękne w zaczątkach rokujący nadzieje.

Kresowiec.

LITEWSKI RUCH NARODOWY

Dla bardziej dokładnego określenia obecnego kierunku litewskiego ruchu narodowego musimy podać krótki zarys jego historyi.

Zaczął się on dopiero na początku 1883 r., kiedy wyszedł pierwszy numer pisma „Auszra“ — pierwszej gazety litewskiej, drukowanej literami łacińskiemi. „Auszra“ (Zorza) wychodziła w Prusach, lecz była przeznaczona dla litwinów z pod caratu, gdyż na miejscu wskutek ukazu carskiego litewskie pisma i broszury wolno drukować tylko literami rosyjskiemi. W pruskiej Litwie i przedtem istniały już gazety litewskie, drukowane literami gotyckiemi, lecz były to pisemka bismarkowsko-konserwatywne, które wówczas, jak i teraz nic wspólnego z ruchem narodowym nie miały, a służyły raczej do bałamucenia litwinów. Z innym programem wystąpiła „Auszra“, wydawana wspólnemi siłami kilku patryotów. Postawiła ona otwarcie i stanowczo jako program obudzenie na Litwie ducha na-

rodowego. Kierunek zatem „Auszry“ był czysto patryotyczny. Drukowano w niej życiorysy znakomitszych litwinów, jak Dowkonto, Paszkiewicza i innych, a także i słynnych patryotów innych narodów. Umieszczono też sporą ilość wierszyków własnego utworu, w których tkliwie mówiło się o Litwie, o jej dawnej sławie i ubolewało się nad teraźniejszym upadkiem. Z obcych języków także tłómaczyło się wszystko, co było wierszem lub prozą pisane o Litwie. Znaleźli się wreszcie domorośli lingwiści i badacze starożytności, którzy, nie znając ani lingwistyki ani archeologii, na zasadzie tych nauk pisali i umieszczali w „Auszrze“ swoje lingwistyczno-archeologiczne odkrycia o sławnej przeszłości Litwy. Jeden wynalazł, że Troja była miastem litewskiem, inny twierdził, że Aztekowie meksykańscy był to naród litewski.

Programu ani politycznego ani społecznego nie było w „Auszrze“. Jako pismo patryotyczne mówiła ona tylko o potrzebie miłości ojczyzny — Litwy, o odrębności litwinów, napadała na moskali i polaków jako byłych i obecnych wrogów narodu litewskiego.

Wyraźnie przejawił się w A. ruch antyklerykalny. Zaczęła ona walkę z klerykalizmem, bo nasza kasta duchowna nieprzyjaznem okiem patrzyła na budzący się na Litwie ruch demokratyczny, który groził zmniejszeniem jej wpływu na naród, a co najgorsze — zeszczupleniem jej materyalnego dobrobytu, gdy stary szlachecki porządek zapewniał jej panowanie na długie lata. Świecka inteligencya litewska krytykowała duchowieństwo, chcąc poderwać jego znaczenie w narodzie, księża zaś wyklęli „Auszrę“ z ambon jako pismo ateistyczne i siejące materyalizm. Siły były za małe; „Auszra“ przestała wychodzić w 1886 r., przeżywszy $3^1/_2$lata.

„Auszra“ upadła, lecz ruch narodowy nie upadł. Szczupłe jeszcze wówczas kółko świeckiej inteligencyi litewskiej przekonało się o sile kasty duchownej, poznało, że ma ona wpływ zbyt wielki, aby można było otwarcie z nią do walki wystąpić. Zostało zatem postanowione złączyć się z klerykałami, aby przy ich pomocy ideę narodową prędzej do niższych warstw przenieść, tembardziej, że młoda generacya księży zaczęła potrochu sprzyjać ruchowi litewskiemu. Skutkiem tego zaczęła wychodzić „Szwiesa“ (Światło), w której obok zabobonów klerykalnych świecka inteligencya umieszczała swoje artykuły. Ta sztuczna jedność trwała niedługo. „Szwiesa“ wkrótce upadła.

Wtenczas liczniejsze już koło inteligencyi litewskiej własnemi siłami założyło „Varpas“ (Dzwon) w 1889 r. W następnym roku (1890) to samo kółko zaczęło wydawać „Ukininkas“ (Gospodarz), pismo przeznaczone dla ludu wiejskiego, gdyż „Varpas“ był organem inteligencyi. Jedno i drugie wychodziło raz na miesiąc. Księża chłodno przyjęli te gazety i w 1890 r. ich stronnictwo założyło „Apżwałga“ (Przegląd), gazetkę czysto klerykalną. Te trzy gazety wychodzą w Tylży (w Prusach) i po dziś dzień i są organami dwóch partyi: „Apżwałga“ — klerykalnej a „Ukininkas“ i „Varpas“ — postępowej.

Wychodzą one w Prusach dlatego, że wskutek projektu Murawiewa — wieszatiela, zatwierdzonego przez cara Aleksandra II, litewskie gazety i książki wolno drukować tylko alfabetem rosyjskim (rażdanka). Dla przykładu zostały drukowane w Wilnie na koszt rządu i rozesłane do szkółek wiejskich książki do nabożeństwa i inne broszurki dla rozpowszechnienia ich wśród ludu; taką samą próbę jeszcze w zeszłym roku zrobili politycy warszawscy dla litwinów gub. Suwalskiej, lecz litwini nie przyjęli tego dobrodziejstwa a korzystają z przemycanych przez gran cę książek i gazet, drukowanych łacińskiemi literami.

Zróbmy teraz krótką charakterystykę wyżej wspomnianych gazet litewskich. „Apżwałga“ wychodzi 2 razy miesięcznie, jako organ klerykalny zajmuje się przeważnie zabobonami religinyjmi, walczy z postępem i rozdmuchuje nietolerancyę religijną w narodzie, a przeto wywiera wpływ szkodliwy. Lecz ma ona i korzystną stronę, walcząc bowiem z rządem rosyjskim jako wrogiem katolicyzmu, budzi w narodzie duch niezadowolenia, który z czasem można będzie na coś dobrego zużytkować.

„Varpas“, organ partyi postępowej, wychodzi raz na miesiąc, jest organem patryotycznym. W takim kierunku wychodzi i „Ukininkas“. Wychodzi on co 2 tygodnie, a oprócz tego co miesiąc, jako dodatek wychodzi broszurka, zawierająca albo artykuł o gospodarce wiejskiej, albo powiastkę, przeważnie treści patryotycznej. Pod względem uczuć patryotycznych w tych gazetkach w porównaniu z „Auszrą“ daje się zauważyć pewien postęp, pewna dojrzałość poglądów. Niema już w nich czułych wierszyków na cześć „drogiej Litwy“, niema rozpaczliwych wspomnień o sławnej przeszłości litwinów; przeciwnie, o ile pozwala wcale jeszcze nieostygły zapał patryotyczny, z pewną rozwagą zajmują się one przeważnie sprawami bieżącemi. W kwestyach politycznych zajmują się te pisma tylko krytyką rozporządzeń rządu rosyjskiego, tyczących się Litwy, i postępowania rozpanoszonych na Litwie urzędników carskich. Polemika z polakami rzadko się trafia. Najczęściej napadają na mieszkających na Litwie spolszczonych burżuazów, którzy z zasady przeciwni są wszelkiemu ruchowi demokratycznemu, a więc i litewskiemu. Rozprawy w rodzaju tej, że polacy zgubili litwinów, trafiają się bardzo rzadko, czem się „Varpas“ korzystnie różni od „Auszry“. Innych bliżej określonych celów politycznych niema jeszcze w pismach litewskich, bo dotychczas litwini nie wypracowali jeszcze żadnego określonego programu politycznego.

Co się tyczy poglądów społecznych, to i tu istnieje jeszcze najkompletniejszy chaos. Ogólny kierunek jest demokratyczny, lecz jak wszędzie tak i u nas ma on masę odcieni. W „Varpasie“ przeważa kierunek liberalno-burżuazyjny. Są przedstawiciele tego kierunku, którzy, zajmując niezłe jak na dzisiejsze czasy posady rządowe, a nie mając nadziei dostać się na wyższe posady i przez to powiększyć swoją pensyę, cichaczem marzą o tem, jak by to było dobrze, gdyby rząd nie był rosyjski, oni zaś służyli „dla dobra swoich braci litwinów“; niezawodnie dosłużyli by się wtedy co najmniej „czynów“ jeneralskich i pobierali by kilkunastutysięczną pensyę; piszą więc artykuliki treści patryotycznej, a jako urzędnicy carscy boją się śmiałego wystąpienia przeciwko rządowi i są stronnikami kierunku umiarkowanie-liberalnego. Jest także kilkunastu prawdziwych demokratów, którzy, nie wyrobiwszy sobie jeszcze żadnych określonych planów przyszłości, pracują tylko nad rozpowszechnieniem oświaty w ludzie. Jest także garstka skrajnych patryotów, którzy marzą tylko o tych czasach, kiedy na Litwie wszyscy będą mówić po litewsku. Inne poglądy uważają za niepatryotyczne a więc naganne. Nareszcie spora ilość inteligencyi litewskiej z przekonania jest przychylną ruchowi socyalistycznemu, lecz nie widząc jeszcze na Litwie odpowiedniego gruntu dla przyjęcia tej idei, nie występowała otwarcie ze swojemi przekonaniami. „Varpas“ jest ogólnym organem całej postępowej inteligencyi litewskiej, nic więc dziwnego, że w nim znajdziesz artykuły najrozmaitszego kierunku i treści, że w nim sporo miejsca zajęło np. rozstrzygnięcie kwestyi o tem, jakie żony powinni brać patryoci, lub innych nie mających żadnego znaczenia. Kółko z przekonaniami socyalistycznemi nie było zorganizowane do ostatnich czasów i nie występowało otwarcie ze swemi zasadami, a biorąc czynny udział w ruchu narodowym zmniejszało szowinistyczne zapały zanadto gorliwych patryo-

tów, oczekując czasu, kiedy będzie mogło otwarcie wystąpić ze swoim programem.

Trzymilionowa ludność litewska składa się prawie wyłącznie z rolników, elementu jak wszędzie tak i u nas najbardziej zacofanego. Jeżeli gdzieindziej między rolnikami, stojącym znacznie wyżej od litewskiego pod względem umysłowym, dopiero w ostatnich latach zaczął się rozpowszechniać ruch socyalistyczny, nic dziwnego, że my wskutek naszych szczególnych warunków dopiero od niedawna zaczęliśmy robić próby zorganizowanego, systematycznego działania w tym kierunku. Wcześniej nie mogliśmy o tem myśleć, bo musieliśmy choć trochę zmniejszyć ciemnotę, panującą na Litwie, musieliśmy odkryć drogę dla przenikania oświaty na Litwę. Zadanie to nie jest łatwe; bo wskutek ukazu carskiego książki litewskie nawet treści najniewinniejszej musimy z wielkim trudem przemycać przez granicę; inteligencyi było początkowo bardzo mało; burżuazya litewska gardziła ludem, tem bardziej, że mówił on obcym dla niej chamskim językiem. Księża, którzy tu mają ogromny wpływ, o ile możności starają się trzymać naród w ciemnocie, gdyż leży to w ich własnym interesie. Nic więc dziwnego, że dotychczas byliśmy zajęci przeważnie podniesieniem oświaty ludowej i obudzeniem liberalizmu politycznego i tylko potrochu, nieśmiało odsłanialiśmy idee socyalistyczne, tem bardziej, że i sami nie znamy odpowiedniej literatury, bo polska literatura socyalistyczna mało może nam się przydać, będąc zastosowaną do potrzeb proletaryatu miejskiego i fabrycznego.

Co się tyczy statystyki stanu ekonomicznego Litwy, to nie mając danych obszerniejszych ograniczę się tylko na statystyce gub. Kowieńskiej, wziętej z kalendarza urzędowego za rok 1881. Z 368.000 mężczyzn gub. Kowieńskiej, 98.000 wcale nie posiada własności ziemskiej, kątników i mających tylko ogród jest 24.000, dzierżawców — 10.500; mających mniej niż 3 dziesięciny — 35.000, a więc nie mających lub potrzebujących ziemi jest 168.000, co stanowi prawie połowę całej ludności. Stosunek ten dzisiaj zapewne się zmienił o tyle, że bezrolnych jest znacznie więcej.

W gub. Suwalskiej między litwinami rozwinięta jest wielka własność ziemska, dlatego bezrolnych jest jeszcze więcej, niż w gub. Kowieńskiej.

W gub. Wileńskiej, wskutek parcelacyi gruntów, bezrolnych jest mniej, lecz posiadacze mają nadzwyczaj mało ziemi i to obciążonej podatkami.

Z powyższego widać, że na Litwie jest element, nadający się do przyjęcia idei socyalistycznych, lecz do tego elementu dopiero teraz i to w niewielkim stopniu zaczęła przenikać oświata, zaczęły dochodzić nowe litewskie broszurki. Są już zrobione próby drukowania broszur treści socyalistycznej. Tak przed 2 laty było wydane tłomaczenie z polskiego „Ojca Szymona“, lecz z wypuszczeniem tych miejsc, w których autor źle odzywa się o księżach. Broszurka ta miała wielkie powodzenie. Obecnie w krótkim czasie ma wyjść już całkowite tłomaczenie „Janka Bruzdy“ i drugie wydanie „Ojca Szymona“ również całkowite. Jakie będą miały powodzenie, szczególnie „Janek Bruzda“, w którym otwarcie postawiona jest kwestya socyalistyczna, okaże się niebawem. Prawdopodobnie większych rezultatów nie będzie, póki inteligencya zorganizowana nie wyda całej seryi broszur odpowiednich, w których czytelnik mógłby znaleść dokładne wyjaśnienie celów i dążności socyalizmu, póki nie wyrobi się pewna ilość wieśniaków, którzy potem będą nosicielami po wsiach idei socyalistycznej. To jest jeszcze kwestya, choć już niedalekiej lecz zawsze jeszcze przyszłości.

Na zakończenie dodam kilka słów o kierunku ruchu litewskiego w Ameryce. Amerykańscy litwini dzielą się na dwa obozy: ogromna większość należy do obozu klerykalnego, znajdującego się pod dowództwem księży, a tylko garstka należy do obozu socyalistycznego. Są to tak zwani przez klerykałów „Szluptarniai“, po polsku słudzy Szlupasa, najbardziej czynnego i energicznego z pomiędzy litwinów obozu socyalistycznego.

W każdem mieście, gdzie są litwini, tworzą oni kółko, mające nazwę jakiegokolwiek świętego katolickiego. Kółek takich jest kilkadziesiąt. Wszystkie one łączą się w „Związek“ (susivienyjimas), mający za prezesa jednego z księży katolickich. Silny ten obóz ma 3 gazety: 1) tygodnik „Vienybe“ — organ Związku, 2) „Garsas“ i 3) „Valtis“ — gazetka ultra-klerykalna. Z nich „Vienybe“ ma największe powodzenie, jest umiarkowanie klerykalne, ma pewien wpływ i na litwinów na Litwie.

Kółko socyalistyczne wydaje tygodnik „Nauja Gadyne“ (Nowy czas), lecz tygodnik ten czy wskutek braku współpracowników, czy środków materyalnych, nie może poszczycić się ani odpowiednią treścią, ani powagą. Chociaż wydawany jest w celu rozpowszechnienia zasad socyalistycznych, więcej walczy z wiarą katolicką niż z obecnym ustrojem społecznym. Jakie on ma powodzenie w Ameryce, tego nie wiem, lecz dla nas na Litwie nie ma on żadnej wartości, bo, pominąwszy inne braki, niezrozumiałe są dla naszych włościan poważniejsze artykuły w rodzaju „Religii kapitału“ i inne podobne.

AMERYKA

(List Drugi)

I.

Rok rocznie wraz z nastaniem ożywczych promieni słonka wiosennego, budzą się w łonie proletaryatu amerykańskiego nowe, spotęgowane objawy życia, świeże wysiłki, jaśniejsze nadzieje i krzepkie myśli.

Gdyby chcieć po imponującym liczbą, szeregu małych i dużych strejków, jakie z regularnością zmian w porach roku mają na wiosnę miejsce w Stanach Zjednoczonych, wnioskować o sile rewolucyjnej tutejszego robotnika, to proletaryat w Ameryce Północnej winienby stać na czele wszystkich krajów cywilizowanych a cieszących się ruchem klasowym. Jednakże tem samem, że klasa robotnicza w Unii, mająca na swe zawołanie nieocenioną broń powszechnego głosowania oraz znajdująca się w tem szczęśliwem położeniu na mocy swej przewagi liczebnej, iż mogłaby z łatwością, gdyby tylko zrozumiała swe interesy, zagarnąć w swe ręce maszyneryę prawodawczą w co najmniej 30 — 48 pojedyńczych Stanach Unii, ucieka się jeszcze wciąż tylko do słabej dziś broni walczenia z organizowanym kapitałem za pomocą strejków, tem samem świadczy ona właśnie o swej niedojrzałości politycznej. Wobec zaś tego iż od r. 1886 najwyżej 10 na 100 strejków warte były trudów i ofiar pieniężnych, na nie poświęcanych, świadczy to o naiwności w zwalczaniu wroga, dla której w końcu niema wybaczenia.

Z kilkudziesięciu większych strejków, zainscenizowanych w roku bieżącym, najbardziej godnym uwagi jest strejk konduktorów i woźniców tramwajowych w Brooklynie przy New-Yorku, jaki się odbył koło Nowego Roku. W niektórych szczegółach okoliczności, towarzyszące mu, podobne były do wypadków w słynnym strejku robotników w Pullman. Niegodne traktowanie, ciągłe redukcye płacy i przymuszanie ze strony kompanii robotników do pracowania dłuższych, niż na to pozwala prawo stanowe, godzin w ich uciążliwem, niezdrowem i nader odpowiedzialnem zajęciu, skłoniły

owe 6.000 przeszło ludzi do porzucenia roboty w obliczu widma ogromnej armii pozbawionych pracy, gotowych każdego czasu do zajęcia miejsca strejkujących. O ile z jednej strony fatalna podówczas słota, śnieg i mrozy wpływały nieźle na korzyść strejkujących, o tyle znów zgubnem dla nich być musiało obranie pory zimowej, w której najwięcej przybywa do miast, jak New-York, biedaków w gonitwie za byle jakiem zajęciem. Po stronie robotników było *prawo* (co do godzin pracy), sympatya ogółu mieszkańców New-Yorku i Brooklynu, solidarność i wytrwałość w ich szeregach godna uznania i hojna acz niewystarczająca pomoc finansowa wielu organizacyi robotniczych. Po stronie zaś kompanii tramwajowych był ich milionowy kapitał, armia rezerwowa proletaryatu, przyjmująca rolę „skabów“, policya, wojsko i sądownictwo. Tam *prawo*, tu *siła*. Siła jak zawsze, tak i w tym wypadku, odniosła zwycięztwo nad prawem. Legislatura (ciało prawodawcze) Stanu New-Yorkskiego, oddana całkowicie interesom kapitału, ustanowiła dla sypania piasku w oczy klasie pracującej 10-godzinny dzień roboczy dla ludzi zatrudnionych na tramwajach. Sądownictwo, oddane całą duszą interesom kapitału amerykańskiego, rozstrzygnęło tę sprawę w taki dyplomatyczny sposób na korzyść tramwajowych kompanii, iż orzekło, jako nie można *przymuszać* robotników gotowych pracować dłużej, aby robili tylko 10 godzin.

W zaburzeniach, jako to wybijanie okien w wagonach, bójki, staczane z konduktorami i woźnicami, którzy zajęli miejsca strejkujących, przecinanie drutów telegraficznych (trolley-wires), blokowanie szyn i wogóle utrudnianie komunikacyi, brali udział strejkujący. Nierównie liczniejszy wszakże—inni robotnicy, sympatyzujący z nimi, a także jak to bywa przy wszelkiego rodzaju hecach publicznych, żywioł rekrutujący się z uliczników, wyrostków i złodziei. Ci ostatni, oczyszczając kieszenie gapiącego się tłumu, wychodzili na rozruchach najlepiej.

Dla zapobieżenia rozruchom, utrzymania porządku i obrony „świętej własności“, władze odnośne postawiły na żądanie kompanii policyę i wojsko, a sędziowie wysyłali buntowników całemi paczkami do więzienia. Jednego zaś z sędziów, okazującego pewną sympatyę dla strejkujących, kosztowało to, po rozwścieczonych napadach na jego osobę ze strony pism kapitalistycznych, posadę. Niedołęztwo ludzi, którzy zajęli miejsca strejkujących, a były to w ogromnej większości szumowiny proletaryatu dużych miast, powodowało codzienne wypadki, przy których sporo osób dorosłych i dzieci straciło życie lub poniosło kalectwo. Wojsko, stojące obozem na ulicach Brooklynu niby w zabranem mieście nieprzyjacielskiem, składające się z milicyi, czyli ochotniczych pułków, uzbrojonych i umundurowanych kosztem Stanu New-York, złożyło dowody swej „patryotycznej“ brutalności i nienawiści dla ruchu klasy robotniczej. Członkowie tych pułków należą z małymi wyjątkami do rzędu dandysów, pomocników handlowych, biurowych i „maminych synków“, jak ich nazywa lud miejski. Dodatnim objawem ze strony mas ulicznych była nienawiść ku ochotnikom — żołdakom, jaką im wcale niedwuznacznie okazywano. W zamian za komplementy odbierane od ludu, umundurowani niepenie, strojący się w piórka amerykańskiego patryotyzmu i uważający się za stróżów „porządku“, dyszeli formalnie chęcią utopienia swych bagnetów w sercach strejkujących i ich przyjaciół. Dało to najlepszy przedsmak tego, czego się należy spodziewać od tych ludzi, gdy się kiedy proletaryat na dobre zabierze do wyczyszczenia swińskiej stajni burżuazyjnej. Ofiarą rycerskich „synków maminych“ padło wiele skądinąd niewinnych osób, co jeszcze bardziej rozjątrzyło lud.

Z wyjątkiem kilku dzienników, stojących z całą brutalną a uznania godną otwartością po stronie kapitału, prasa zmuszona liczyć się z dużym zastępem czytelników, należących do klasy robotniczej i skutkiem tego ukrywająca reprezentacyę interesów burżuazyi amerykańskiej, pod maską przyjaźni dla „biednego człowieka“ „syna pracy“ (son of toil) i podobnych nic nieznaczących frazesów kapitalistycznego dziennikarstwa, chcącego trzymać pod swą kontrolą tłumy swych prenumeratorów-robotników, w początkach strejku broniła niby „wyzyskiwane ofiary korporacyi“ i udowadniała, że żądania strejkujących nie są znów wcale tak bardzo „wygórowane“; że faktycznie ludzie na tak odpowiedzialnem, ważnem dla szerokiej publiczności stanowisku nie powinni pracować „dłużej jak 10 godzin na dobę“ itp. Skoro jednak strejkujący nie przestali na stawianiu żądań, ale przeszli do użycia siły celem przeprowadzenia jedynego środka, który mógł zmusić kompanie do ustępstw, t. j. celem przeszkodzenia regularnemu kursowaniu tramwajów, dziennikarstwo, które udawało sympatyę dla „biednego człowieka“, rzucało teraz kalumnie na strejkujących, nazywało ich anarchistami, buntownikami i żądało energicznego wdania się władz policyjnych dla „obrony własności i utrzymania porządku“. Podobnież zachowywała się owa kolosalna prostytutka, zwąca się opinią publiczną mieszczaństwa. Należy zaznaczyć, że gwałtowne środki strejkujących tramwajarzy, dążące do przerwania komunikacyi, były wcale nie wystarczające dla tego celu i świadczyły o braku energii jak również o bezplanowości strejków, prowadzonych nie jednolicie. Przytem okazywano jeszcze za wiele poszanowania dla „prawa“ i „sympatyi ogółu“, nie mającej żadnego znaczenia w ekonomicznych utarczkach pracy z kapitałem.

Strejk ten, trwający kilka tygodni, narobił w swoim czasie sporo wrzawy, usposobił rewolucyjnie setki tysięcy robotników, pogrążonych w tej apatyi dla spraw swej klasy, która tak ujemnie cechuje proletaryat anglo-amerykański i wzbogacił go o doskonałe, jasne dla każdego doświadczenie. Robotnicy tramwajowi w Stanach Zjednoczonych mogli się wtedy przekonać, że jedynie na drodze prawodawstwa zdołają polepszyć byt swój i zmusić zorganizowany kapitał do ustępstw. Wypadki strejku brooklyńskiego w niejednej głowie pozostawiły ziarno, które w przyszłości wyda dobry plon. Kompanie przypłaciły upór swój setkami, a robotnicy obstawanie przy swych żądaniach dziesiątkami tysięcy dolarów i w końcu musieli się ze wstydem poddać na łaskę i niełaskę kapitału.

Nie udał się także strejk 1.000 robotników mularskich w St. Louis, a górnicy węglani w Stanach Ohio, Illinois, Indiana, West Virginia i Pensylwania napróżno i tej wiosny czynią wysiłki dla utrzymania zarobków na dawnej skali. Dla tych nieszczęśliwych górników, stojących na niskim stopniu oświaty, trzeba widocznie maczugi, aby im raz na zawsze wybić z głowy coroczne urządzanie bezrobocia, które z jednostajną regularnością zaczyna się stawianiem żądań i odgrażaniem się właścicielom kopalni, a kończy brzydką przegraną. Należy dodać, że przywódcy organizacyi górniczych są prawie wszyscy działaczami w obozie obu politycznych stronnictw burżuazyjnych, i że skutkiem tego nie pragną wcale, aby ulegli im robotnicy odłączyli się od partyi kapitalistycznych i zdobyli sobie ludzkie warunki życiowe za pomocą niezależnej, socyalistycznej akcyi politycznej.

Rezultaty, odnoszone przez nieustanne porzucanie roboty zorganizowanych robotników krawieckich (przeważnie żydzi) w New-Yorku, Bostonie, Baltimore i Filadelfii, nie odpowiadają bynajmniej także podziwienia godnej energii i wytrwałości, z którą ci ludzie staczają boje z silnym, upartym i niesłownym wrogiem. O najdrobniejsze polepszenia swej doli staczać im trzeba zażartą walkę a co dziś uzyskali, bardzo często traci się nazajutrz. I tu się wykazuje, że jedynie na drodze

prawodawstwa można uzyskać trwałe podniesienie stanowiska życiowego.

W strejkach krawieckich w New-Yorku i Filadelfii brało także udział kilkuset robotników litewskich, których musiało się wprost gwałtem wciągnąć do organizacyi, i którzy zawsze byli pierwsi w gotowości do łamania uchwał swego związku. Większość Litwinów obu wymienionych miast, jak również Baltimore, zatrudniona jest w najnędzniej z wszystkich w Ameryce płatnem rzemiośle krawieckiem o ile się ono przynajmniej tyczy robót niższego gatunku, czyli taniej tandety. Zarabiają przy nader długiej pracy od 2 do 8 dol. na tydzień i to w istnych norach, gdzie brak powietrza, światła i wygód, bez których nie obejdzie się robotnik anglo-amerykański. Litwini w Stanach Zjednoczonych stoją jeszcze znacznie niżej pod względem umysłowym i na punkcie świadomości klasowej, niż robotnicy polscy, którzy wszakże też pod tym względem dużo pozostawiają do życzenia.

Niemałą przeszkodę w skutecznem prowadzeniu walki robotników krawieckich stanowi owa szkaradna właściwość amerykańskiego ruchu robotniczego, że w jednem i tem samem rzemiośle panuje kilka oddzielnych organizacyi, które bądź to skutkiem nierozsądnego pojmowania swych interesów zawodowych, bądź skutkiem karygodnej nieuczciwości swych przewodników, zajmują względem siebie niejako stanowisko konkurentów.

Acz wiadomem było dobrze szerokiemu ogółowi niebezpieczeństwo, grożące mu z t. z. „sweating systemu", produkcyi lichej odzieży czyli tandety, obuwia i cygar, w obrzydliwych, rażących brudem, wyziewami i przepełnieniem, warsztatach, to jeszcze mimo to śledztwo, prowadzone w tej mierze przez specyalną komisyę, wyznaczoną z ramienia legislatury Stanu New-Yorkskiego, wydostało na światło dzienne mnóstwo nadużyć, cały stos brudów, haniebnego wyzysku pracy i pomiatania godnością ludzką, które muszą wstrzasnąć duszą każdego współczującego i myślącego człowieka. Ta szkaradna gałęź produkcyi kapitalistycznej prowadzoną jest przez t. z. kontraktorów, bezczelnie ograbiających podwładnych im najmitów. Ofiarami „sweating systemu" w fabrykacyi odzieży tandetnej są prawie wyłącznie robotnicy żydowscy, włoscy i litewscy, a w produkcyi cygarniczej — czescy. Jeżeli reprezentacya burżuazyi, z jakiej się wyłącznie składa ciało prawodawcze Stanu New-Yorkskiego, uznała za konieczne zamianowanie komisyi dla zbadania nadużyć w fabrykacyi towarów na sposób „sweating systemu" i przedłożenia jakiegoś planu, za pomocą którego dałoby się usunąć najbardziej krzyczące zło, to zmusiło ją do tego skądinąd arcyniemiłego dla niej kroku widmo zaraźliwych chorób, które bardzo łatwo udzielają się przez towary, sporządzone w cuchnących zgnilizną pracowniach i przez ludzi cieleśnie zrujnowanych.

Okazało się przy badaniach odnośnych stron przez komisyę, że przedewszystkiem kontraktorzy i fabrykanci łamali na każdym kroku prawo, nie dozwolające im zatrudniać dzieci niżej lat 14. Zdarzają się często wypadki, że dzieci od lat 8 do 12 pracują po 10 do 14 godzin na dobę za wynagrodzeniem 1 do 2 dolarów na tydzień. W produkcyi sztucznych kwiatów, w której około 5.000 osób zatrudnionych jest w New-Yorku, zarabiają 13 i 15 letnie dziewczęta, włoszki i robotnice żydowskie, przeciętnie od 2 do 5 dolarów na tydzień. Matka i córka, włoszki, pracować musiały dwie godziny, aby zarobić 8 centów.

W dowcipny sposób wyświetlił wartość „bogactwa narodowego" dla klasy robotniczej, prof. Daniel de Leon, zdolny redaktor urzędowego organu amerykańskiej partyi socyalistycznej „The People", na zebraniu publicznem, jakie miało miejsce niedawno. Według urzędowego statystycznego biura pracy (Bureau of Labor Statistics) bogactwo narodowe wzrosło w Stanach Zjednoczonych z 308 dol. od głowy w r. 1850 na 1.309 dol. w r. 1890. De Leon czyni takie porównanie: „Przypuśćmy, iż jest w pokoju 10 ludzi, z których jeden posiada 1.000 dol., a reszta nic. Jak by się to spodobało tej reszcie, gdyby ów człeczyna, mający 1.000 dolarów, przemówił do niej w ten sposób: Czyż nie jesteśmy bogaci, moi panowie? W pokoju tym znajduje się wszakże 100 dol. majątku u każdego z nas dziesięciu"...

II.

Nagłe a zarazem niespodziane ustąpienie milionera gazowego, obecnego komisarza „Skarbu Narodowego" w Rapperswylu na Stany Zjednoczone, barona Erazma Jerzmanowskiego w New-Yorku, z godności prezydenta „Ligi Polskiej", upieczonej latem ubiegłego roku w Chicago, zadało organizacyi tej cios śmiertelny. „Liga" nie tylko nie zdołała połączyć wszsytkich parafii, mnogich towarzystw i scentralizowanych organizacyi „pośmiertnych" w jedno, potężne ciało, nie tylko nie uzyskała sobie wcale zaufania ogółu emigracyi polskiej i nie udało jej się wywołać żywej agitacyi wśród mas ludu, ale nawet owe marne kilkaset ludzi, którzy z wielkim trudem trzymają się jeszcze przy kościotrupie tyle obiecującej organizacyi, musi się wciąż w sztuczny sposób budzić do życia, by pokazać światu że „Liga" jeszcze nie umarła. Biedni ci księża i ta „inteligencya", trzymająca się rękami i nogami suto zastawionego koryta proboszczowskiego. Oczekiwano od Ligi, że ona, zostawszy jedyną godną reprezentantką Polonii amerykańskiej i złączywszy wszystkie obozy w jedną, silną całość, która się podda bezwarunkowej opiece milionerów — księży i trabantów ich, potrafi ochronić polskich robotników w Ameryce przed wynarodowieniem się, przed „wykatoliczeniem" i że odeprze wszelkie próby wnoszenia w masę wychodźtwa jakichś swobodniejszych myśli, zdrowych poglądów ekonomiczych i społecznych. A tu tymczasem dziś już można śmiało uczynić przed firmą Ligi znaczek krzyża! Wprawdzie dla zachowania decorum zwołanym został wiec, na którym uchwalono kilka szumnych rezolucyi, a — co ważniejsza — obrano kilka komitetów, mających z osobna wyznaczone pole działalności, ale to wszystko nie zda się „psu na budę" i nie ocuci konającego. Z tych komitetów najważniejszy t. z. wychowawczy. Ma się bowiem zająć tworzeniem bibliotek po koloniach polskich, rozszerzaniem tanich wydawnictw ludowych, naturalnie w duchu „wiernym kościołowi i ojczyznie naszej" pisanych oraz wysyłaniem prelegentów celem ustnego kształcenia polsko-amerykańskich chłopów — najmitów fabrycznych i górniczych. Rzeczywiście kilka mniejszych kolonii na Zachodzie otrzymało w darze od „Ligi" malutkie kolekcye broszurek i książeczek ludowych, mocno w tendencyi zbliżonych do publikacyi „Macierzy" galicyjskiej, jeśli nie gorszych. Wysłano także podobno kilka razy prelegentów. Wśród sztabu generalnego „Ligi" w Chicago, można spotkać, prócz tuzina w sutannie, dwa świeczniki, zasługujące na uwagę. Jeden, Szczęsny Zahajkiewicz, człowiek o pewnem wykształceniu i mający tuzinkowy dar rymotwórczy, jest prawą ręką proboszcza parafii św. Wojciecha, najbogatszej w tem mieście, osławionego milionera i opryszka w duchownej szacie, ks. Wincentego Barzyńskiego, drugi Dr. „obojga praw", galicyanin, Jan Czupka. Drapnąwszy lat temu kilkanaście z adwokacko skręconym kapitalikiem z ojczyzny, rozpuścił wkrótce takowy w amerykańskim alkoholu i prowadził długi czas hulaszczy żywot na bruku New-Yorkskim, a również, jak każdy pijak zwyczajny, nie chcąc uczciwie zarobkować na życie, tułał się u dobrodusznych znajomych i, gdzie się dało, naciągał głupiutkich rodaków. W chwilach szału, alkoholem wywołanego, rzucał

naokół siebie frazesy rewolucyjne i bawił się w anarchistę. Do demokracyi socyalnej zaś czuł pewien wstręt, gdyż wiadomem mu było, że ta żąda od swych ludzi, aby przedewszystkiem poddali się pewnej etyce i dyscyplinie partyjnej. Anarchizm, który rozumiał, jako wyuzdaną swobodę jednostki, był dlań nader wygodny. W końcu, popełniwszy jakieś generalne świństwo na zakończenie swej bytności w New-Yorku, pan Czupka zreformował się, t. j. przestał używać snu pod ławami karczm i został natomiast redaktorem „Polonii“ w Baltimore. Według przysłowia zaś, że swój do swojego, zatęknił do Chicago, stołicy polsko-amerykańskiej stańczykieryi karyerowiczowskiej i, wyjechawszy tam, nasz rzekomy anarchista stał się poplecznikiem bogatych księży w tem gnieździe kleru. Tu pewien czas wydawał pismo humorystyczne „Bocian“, zapełniając takowe w dosyć znacznej części płonami własnymi, świadczącymi o wcale ładnym talencie, a po upadku swego wydawnictwa, otworzył biuro adwokackie. Obecnie Czupka jest filarem „Ligi“ i zasiada w komitecie wychowawczym takowej. Prócz tego zaliczon jest do krzewicieli oświaty i „moralności“ naturalnie w duchu „naszej świętej wiary i interesów narodowych“.

Wielkie zainteresowanie się budzi już teraz mający się odbyć we wrześniu t. r. sejm „Związku Narodowego“. Jeżeli można sądzić po niektórych objawach, to w łonie organizacyi tej gotuje się na pewne ważne zmiany. Organ urzędowy „Związku“, którego redaktorem jest Hieronim Jabłoński, przygotował nieźle grunt szeregiem artykułów z dziedziny społecznej i w kwestyi ruchu klasy robotniczej. napisanych w kierunku przyjaznym dla naszego ruchu, acz zdradzających powierzchowną znajomość tegoż i odzianych w niepotrzebną sukienkę idealistyczną i sentymentalną. Jakkolwiekbądź, redakcyi „Zgody“ należy się wdzięczność socyalistów polskich w Ameryce za pobudzenie członków Związku do myślenia, za wskazanie im potrzeby zajęcia się kwestyą socyalną, a — co niemało ważne — za częste zwracanie takowym uwagi, iż są robotnikami. Wobec tego że wielu związkowców, idących ślepo za frazesami „narodowymi“ filarów swej organizacyi, lubuje się w chorowaniu na panów, wytykanie im palcem pod nos, jak to kilkakrotnie czynił p. Jabłoński, niemiłego dla naszych „panów“ faktu, że są najmitami u kapitalistów amerykańskich, ma poważne znaczenie. Prócz tego ukazały się w „Zgodzie“ rozprawy o konieczności bardziej stanowczego postawienia w programie „Związku“ kwestyi niepodległości Polski, o użytku dla organizacyi, jaki by miała z własnego domu, gdzieby się mieściła drukarnia urzędowego organu, o potrzebie codziennego pisma narodowo-postępowego celem zwalczania wpływów „Chicagoskiego Dziennika“ stojącego na żołdzie jezuickim, i o nadaniu „Związkowi“ cechy bardziej politycznej, wychowawczej oraz postępowej. Sejm wykaże, ile wpłynęła agitacya „Zgody“ na duchowe usposobienie 7.000 związkowych. Energiczne traktowanie sprawy polskiej przyniosło „Zgodzie“ sarkazm i źle ukrytą niechęć dla kwestyi niepodległości — kilku pism, będących na usługach klerykalnej „partyi dworskiej“ w Ameryce. Dopóki za czasów dawniejszych „Zgoda“ ograniczała się na punkcie kwestyi polskiej do sentymentalnego aż do obrzydliwości wzdychania do „Panienki Częstochowskiej“ o „przywrócenie Polski w dawnym jej blasku i sławie“, odwoływania się do sprawiedliwości Wszechmogącego i mocarzy europejskich, a czasami kiwania palcem w bucie i dziecinnego odgrażania się caratowi, nasza „partya dworska“ uległa w zupełności polityce Rzymu, uśmiechała się tylko i pozwalała narodowcom związkowym bawić się w politykę. Teraz polska polityka „Zgody“ stała jej się arcynieprzyjemną.

W num. 22 tego pisma ukazała się korespondencya, podpisana przez sekretarza pewnej grupy związkowej, a nawołująca energicznie do wykreślenia na przyszłym sejmie paragrafu z konstytucyi „Związku“, który wzbrania doń przystępu socyalistom. Można uważać za pewnik, że sprawie tej wielu z członków jest przychylnych i że trzeba tylko, by którakolwiek grupa postawiła wniosek urzędowy w tej mierze, a takowy przejdzie na sejmie.

Nienormalne stosunki pod względem życia narodowego i politycznego, w jakich się znajduje wychodźtwo polskie w Stanach Zjednoczonych, musiały z natury rzeczy stworzyć w masie ludzi, która w kraju swym rodzinnym zajmowała w oczach klas rządzących pozycyę zera, niezdrowe lub śmieszne objawy duchowe. Pod jarzmem wpływu księżego, wodzony na pasku przez niesumiennych karyerowiczów, lub poczciwych, ale naiwnych narodowców, którzy są ślepi na wrące życie społeczne i zmiany rewolucyjne w ekonomicznym bycie narodów, czytając wreszcie tyle już lat nędzną prasę, która do czasów ostatnich ani pisnęła nawet o tem, że polacy w Ameryce należą prawie wyłącznie do klasy robotniczej i która go wciąż tylko karmiła ideałami „narodu polskiego“ oraz interesami amerykańskiej burżuazyi, chłop i robotnik. będący kiedyś w ojczyznie swej — niczem, wydawał się sobie, jako emigrant, czemś wielkiem. Nie mając przed sobą polskiej szlachty i niemiecko-polsko-żydowskiej burżuazyi, która by mu okazywała na każdym kroku swą pogardę, lekceważenie lub w najlepszym razie „pańską łaskę“, chłop i rękodzielnik z Poznańskiego, Galicyi lub małych miasteczek gubernialnych Królestwa, poczyna uważać się za „porządnego obywatela amerykańskiego“, za syna wielkiego narodu polskiego i myśli w końcu, że naród polski, a raczej uprzywilejowane warstwy w takowym, podadzą mu bratnią dłoń, nie zapytawszy się wprzód o jego stanowisko ekonomiczne.

Wina tego zjawiska leży także niemało w tem, że polsko-amerykański proletaryat nie doznaje publicznie tego uczucia upokorzenia, nie widzi tej jaskrawej różnicy na ulicach miasta, jaka bije z zewnętrznego wyglądu „panów“ a rzeszy roboczej. Lepsze dotychczas zarobkowanie i taniość ogólna egzystencyi zezwalały najmitom amerykańskim ubierać się jako tako przyzwoicie, i na tym punkcie trudno nawet rozróżnić „syna pracy“ od przeciętnego kupczyka i tego, co się wogóle w ziemiach polskich rozumie pod nazwą „pana“. Niemniej i w tem, że nawet klasy uprzywilejowane w Stanach Zjednoczonych, wywodzące swe pochodzenie z rasy anglo-saskiej, nie mają tego hańbiącego godność ludzką lekceważenia dla prostego robotnika a przynajmniej boją się okazywać go publicznie. Duma osobista robotnika anglo-amerykańskiego, tak korzystnie wyróżniająca go od przybyszów z Europy, nie zniosła by tej pańskiej buty, z jaką się obchodzi szlachta, kupiectwo i sfera urzędowa w Polsce, z „motłochem“, odzianym w szmaty i zdejmującym kapelusz przed pierwszym lepszym „panem“.

Nie wzmacnia to i tak nadzwyczaj nikłego stopnia klasowej świadomości u ludu polskiego.

Odłam emigracyi, który się tak uporczywie drapie na wyżyny burżuazyjne, urządza od czasu do czasu dla składającego się z najmitów „narodu polskiego“ w Ameryce rozmaite manifestacye i zabawki, mające budzić „duch narodowy“ i przypominać mu o obowiązkach względem starej ojczyzny swej. Każdy taki ruch narodowy staje się na pewien czas modą, której wszystko bezmyślnie hołduje, a biada temu, kto się odważy na śmielszą krytykę będącej właśnie w modzie „sprawy narodowej“.

Od roku blisko stała się taką modą agitacya na rzecz „Skarbu Narodowego“ w Rapperswylu oraz „Żałoba Narodowa“, poruszona w swoim czasie przez „Zgodę“ i podjęta prawie przez wszystkie gazety polsko-amerykańskie. Inicyatorzy żałoby mogą słusznie być

dumni z powodzenia, jakiem uwieńczoną została ich myśl. Z wyjątkiem kilku tylko organizacyi kościelnych w Chicago i Buffalo, wszystkie towarzystwa polskie wykonały myśl jej, wstrzymanie się od wszelkich zabaw i balów publicznych od dnia 1 stycznia 1895 do 26 kwietnia tego roku, z całą ścisłością.

Otóż nie można nic mieć przeciwko temu, gdyby żałobę narodową wzięli na siebie potomkowie klasy, która w pierwszej linii przyczyniła się do upadku Polski. Byłoby to niejako przyznaniem się do winy, skruchą za popełnione grzechy swych ojców. Ale obecnie wielka szlachta polska ma coś lepszego do roboty. Woli się ona trzymać „dworskiej polityki"; dla „warcholskich patryotów", „niemądrych synów ojczyzny" itp., urządzających żałoby narodowe i narażających przez to „dobre imię polskie" (czyt. lokajską wiernopoddańczość) w oczach zaborczych mocarstw na szwank, ma tylko wyrazy oburzenia, litości i żalu. Jeżeli zaś pewna część drobnej szlachty i kupieckiego mieszczaństwa bierze na siebie żałobę w sto lat po upadku ojczyzny, to daje przynajmniej jeden dowód więcej swego politycznego niedołęstwa. Bolesnem wszakże jest, gdy sproletaryzowany lud polski w Ameryce, który przed duszącą go w kraju nędzą, uciekł do Ameryki, i tu zgarbiony pod strasznem jarzmem gospodarki kapitalistycznej pokutować chce za grzechy klasy, której przodkowie smagali go biczem po plecach. Cała jeszcze pociecha przy tej żałobie narodowej na ziemi amerykańskiej, że robotnik polski nie poniósł z niej żadnej szkody materyalnej.

Podobnie jak z żałobą, ma się rzecz ze „Skarbem Narodowym" w Rapperswyllu. Nawet socyaliści albo, jak się wyraża jeden z polsko-amerykańskich mężów stanu, „ten naród, któremu tak trudno dogodzić", mogliby bez naruszenia swych zasad przyklasnąć samej myśli Skarbu, gdyby zbieraniem funduszów na takowy zajęły się te klasy w społeczeństwie starego kraju, u których to być powinno obowiązkiem. Niema przyczyny wątpić o tem, że ludzie, co stworzyli instytucyę Skarbu, ożywieni są szczerą chęcią służenia sprawie niepodległości ziem polskich. Jednakowoż nie wolno zapominać, że stoją oni w całym sposobie myślenia i kierowania się ideałami, w obozie liberalnego czy nawet skrajnie demokratycznego mieszczaństwa. A ono okrom kilku frazesów, nie posiada nic wspólnego z klasą roboczą. Zwracają się oni do najmity polskiego w Ameryce, który niby ów żyd wieczny tułacz pędzi od fabryki do fabryki, od warsztatu do warsztatu za kawałkiem marnego chleba, i żądają odeń, by składał na ich ręce grosz na ołtarzu ojczyzny.

Tymczasem nic jakoś nie słychać o tem, aby klasy posiadające pod wszystkimi trzema zaborami czyniły co dla owego Skarbu. Na dowód tego wystarczy, że fundusz jego nie doszedł jeszcze upragnionej przez zarząd Skarbu sumy 100.000 franków. A wszak tysiące jest osobistości w kraju, dla których taka suma na sprawę patryotyczną nie stanowiłaby ofiary bardzo dotkliwej. Magnaterya polska nie tylko nic nie daje, ale przeciwnie rzuca gromy na agitacyę za „Skarbem Narodowym". Taka rewolucyjna rzecz świadczy przecież arcynieprzychylnie o lojalności dla mocarstw zaborczych. Drobna szlachta o ile życzy sobie „Polski w jej dawnym blasku", mieszczaństwo i sprzedajna w ogromnej większości inteligencya krajowa jakoś też nie śpieszy z sięganiem do trzosu. Widocznie się boją „fatalnych skutków" z otwartej działalności za ideę niepodległości Polski. Nie podobna na chwilę przypuszczać, aby panowie od Rapperswyllskiego Skarbu mieli sobie wiele obiecywać z centów, kopiejek i fenigów, jakie wpłyną na Skarb od polskiego chłopa i wynędzniałego do szpiku kości robotnika w Polsce. Główne nadzieje swe opierają na Ameryce. Tutejsza emigracya ma wyłącznie chyba wziąć na barki swe jarzmo obowiązków względem ojczyzny a ostatecznie może wysłać swe organizacye wojskowe, składające się przeważnie z barwnie umundurowanej kawaleryi o długich szablach ale bez — koni, na „odebranie tego co nam wróg straszny wydarł". Tak to się dzieje! Część społeczeństwa, która taksię lubi ozpływać w ckliwych marzeniach patryotycznych, która się uważa za naturalną reprezentacyę narodu i która niema żadnego poważniejszego zadania przed sobą, nie daje nic dla sprawy tak ogólnie narodowej. Druga zaś część, nie biorąca dotąd żadnego prawie udziału w bycie narodowym, mająca natomiast cały świat jeszcze do zdobycia i potrzebująca każdego grosza do codziennej walki z całym starym porządkiem rzeczy, winna teraz ponosić również koszty spraw, prowadzonych przez ludzi, nic z nią wspólnego nie mających.

Kolektowaniem groszy dla Skarbu zajmuje się w każdej znaczniejszej kolonii polskiej t. z. podkomisarz, upoważniony z ramienia głównego komisarza, E. Jerzmanowskiego. Przesz o 6.000 dolarów, znajdujących się, w części jako darowizna od Jerzmanowskiego, w kasie towarzystwa „Zjednoczenia Polaków" w New-Yorku, którego on jest prezesem, przelanych zostało do funduszu Skarbu. Według sprawozdania datowanego z dnia 11 maja b. r., stan kasy skarbowej wynosi łącznie z wszystkimi dotąd otrzymanymi datkami, uzbieranymi po części za pomocą zabaw, 8.244 dol. 95 c. Swoją drogą, gorączka, jaką pierwotnie wzbudziła agitacya na korzyść Skarbu Narodowego, powoli stygnie. Dziś, po 6 miesięcznym zapale, pieniądze nie wpływają ani o połowę tak raźnie i hojnie. Łatwo zapalający się, ale jeszcze szybciej gasnący temperament polski nie bardzo podatnym jest dla sprawy wymagającej, cierpliwości i mrówczej pracy.

Bezczelna gospodarka, jaką prowadzą po swoich parafiach księża polsko-amerykańscy, ich wyuzdane, gorszące pobożnych życie, a niemniej despotyczne traktowanie polaków-katolików ze strony amerykańskich i irlandzkich biskupów i arcybiskupów wywołały w kilku osadach polskich rozruchy kościelne. Przybrały one przed dwoma już laty kształty otwartej schizmy albo inaczej — agitacyi za oderwaniem się od władzy najwyższej kościoła katolickiego. Biskupi amerykańscy, którym są podległe kościoły polskie, czują jakby pewną przyjemność w nadsyłaniu niemiłych gminom parafialnym księży.

Z tak wywołanego niezadowolenia skorzystało kilku za rozmaite nieregularności wyrzuconych z łona prawo wiernego kościoła, sług bożych, i zdołali oni w przeciągu roku stworzyć w kilku miejscowościach t. z. kościoły niezależne. Te zarządzane są w przeciwieństwie do kościołów, uległych władzy papieskiej, w podobny sposób, jak świątynie protestanckie. Parafia, co najważniejsza, sama wybiera sobie duszpasterza i również sama bez interwencyi wyższych dostojników kościoła może dać jemu, jeśli się to okaże dla niej stosownem, kwitek na drogę. W dalszym ciągu zgromadzenie wiernych zawiaduje wszelkiemi sprawami swej parafii i kontroluje rachunki oraz czynności swego ojca duchownego.

Pierwszy taki kościół niezależny stanął w Detroit, Stan Michigan, pod wodzą „apostaty" Kolasińskiego. Urodzinom tak tego, jak innych niezależnych kościołów, towarzyszyły groźne rozruchy, przy których ściągano nielubionych a upartych księżulków z ambon i wybijano okna kościelne; przeciwne sobie obozy używały dosyć często pięści, noży i rewolwerów.

W ślad za Detroitem poszedł Cleveland (Stan Ohio), Omaha w Nebrasce, Freeland w Pensylwanii; zaburzenia parafialne zaś, z których się mógłby wyłonić kościół niezależny, trwają wciąż jeszcze w Buffalo, Chicago (w parafii księdza Barzyńskiego), Wilkes-Barre (Pensylwania) i Baltimore w Stanie Maryland. Ruch ten

znalazł już nawet swój organ, wydawany pod nazwą „Jutrzenka“, w Cleveland. Założycielem „Jutrzenki“ w czasie, gdy jeszcze niezadowolenie parafian księdza Rosińskiego oraz Ignasiaka w mieście tem nie weszło na drogę otwartego protestu, był niejaki M. A. Chrostowski. Jest to młody człowiek, obdarzony łatwością pisania, ale zresztą bez poważniejszego wykształcenia, bez charakteru a w dodatku lekkomyślny i niesumienny awanturnik dziennikarski. Mając wprost manię zakładania krótkotrwałych pism, posiada zarazem szczególne zamiłowanie do prowadzenia w najwyższym stopniu osobistej, brudnej polemiki ze swymi wrogami, przyczem używa bez skrupułów słownika obelżywych wyrazów, z których wiele nie nadaje się nawet do druku. Udało mu się wkręcić pomiędzy niezadowolonych ze swych księży chłopków i wyrobników polskich w Cleveland. „Jutrzenka“ uzyskała nie mały rozgłos, napadając w każdym numerze na obu wymienionych księży, którym zarzucała wprost zbrodnie kryminalne. Redaktora kosztowało to kilka procesów, z których jakoś cało wyszedł. Skutkiem intryg ks. Kołaszewskiego, tego samego, którego Chrostowski uczynił w swem piśmie ofiarą despotyzmu papieskiego i męczennikiem za sprawę niezależnego kościoła, ustąpić musiał niedługo z redaktorstwa „Jutrzenki“, będącej urzędowem pismem parafii ks. Kołaszewskiego, miejsce jego zajął na pewien czas ks. Stroelke, a następnie De Mary, szlachcic z Podolskiego. „Jutrzenka“, redagowana przez wszystkich trzech wymienionych głupio i lubująca się w łobuzowatem traktowaniu osób i zjawisk, czyni bronionej przez się sprawie niedźwiedzią przysługę, gdyż dzięki niej poważna skądinąd kwestya nabrała pozorów hecy cyrkowej. Warto jeszcze nadmienić, że w zaburzeniach kościelnych, które za każdym razem połączone są z gwałtem, rej wodzą fanatyczne baby, obdarzające miłością swą lub nienawiścią danego księdza. U policyi amerykańskiej, która o ile jest brutalną wobec mężczyzn, o tyle ma względy dla kobiet, polskie baby kościelne zaskarbiły dla siebie bojaźń i sławę amazonek swojego rodzaju. Pewna część anglo-amerykańskiej prasy sekciarskiej odnosi się przyjaźnie do idei uniezależnienia polskich katolików, równocześnie jednak karci rozruchy. Co zaś do prasy polsko amerykańskiej, to z wyjątkiem „Nowego Życia“, „Reformy“ w Buffalo, „Ameryki“ w Toledo i „Zgody“, z wściekłością rzuca się ona na parafian buntujących się przeciw zwierzchnictwu Rzymu.

Pisma o t. z. narodowej i liberalnej barwie nie ustępują w niczem, pod względem besztania „niezależnych“, takiej nawet „Wiarze i Ojczyznie“ lub cierpiącemu na chroniczną kołowaciznę „Polakowi w Ameryce“. Czy idea niepodległości kościołów polskich w Stanach Zjednoczonych od tyranii głowy i jenerałów katolicyzmu utrwali się i rozgałęzi, trudno dziś przewidzieć. To jednak pewna, że zależeć to będzie dużo od tego, czy kler polski stanie się ostrożniejszym i przyzwoitszym w obcowaniu ze swymi żywicielami, jak również przezorniejszym w urządzaniu orgii. Niemniej zależy to i od tego, czy biskupi amerykańscy będą mieli to samo wyrozumienie dla Polaków katolików, które okazują innym narodowościom, nie lubiącym skakać na lince pasterskiej.

Ruch ten swoją drogą zdziałał już wiele dobrego, wdrażając polaków do samodzielnego myślenia i krytycznego zapatrywania się na wybryki swych duszpasterzy.

Pomimo że, jak się bardzo słusznie wyraża „Jednodniówka“ warszawska z r. 1895, „polski ruch robotniczy w Ameryce nie odpowiada jeszcze zadaniom, które nań wkłada obecność półtora miliona polaków, przeważnie robotników“, mnożą się jednak codzienne oznaki iż ruchliwsze jednostki wśród proletaryatu tutejszego zaczynają się niepokoić w obliczu strasznej niestałości zajęcia i coraz gorszych zarobków, oraz instynktownie zwracać nadzieje swe w stronę ruchu socyalistycznego.

Można to wyczytać z korespondencyi, jakie się ukazują od czasu do czasu w Toledoskiej „Ameryce“, w „Zgodzie“ i „Nowem Życiu“. Nawiasem mówiąc, wszystkie trzy wymienione pisma umieszczają przedruki z „Przedświtu“ i „Jednodniówki“.

Wobec zupełnego braku znajomości ruchu najmickiego, będącego u Polaków amerykańskich regułą to, co niejednemu z tych, którzy się rwą do nowego życia, wydaje się socyalizmem czystej wody, nie wytrzymuje naturalnie krytyki rozsądku. W ogólności da się powiedzieć, że dziś w Stanach Zjednoczonych podścielisko, na którem można prowadzić skuteczną propagandę socyalistyczną, kompletnie jest danem, czyli że stosunki ekonomiczne dojrzałe są dla łatwego przekonania mas o konieczności radykalnych zmian w bycie gospodarskim społeczeństwa. Pozyskanie ciężkiego zresztą wychodźtwa dla socyalizmu zależeć będzie teraz jedynie od ilości i energii znających się na usposobieniu chłopskiem agitatorów.

Przykra obojętność dla spraw, tyczących się walki zorganizowanego proletaryatu, obojętność, jaką napotykają czynni w ruchu socyaliści u tego nawet żywiołu polskiego, który w pewnym stopniu już jest zdobytym, uwidacznia się najlepiej już z tego, że tak niepomiernie szczupły zastęp robotników brał roku tego udział w manifestacyach 1 maja. Pomimo że rozdano 2.000 odezw o 1 maja, przysłanych przez Centralizacyę Z. Z. S. P. z Londynu, liczba Polaków, uczestniczących w obchodach tego wspaniałego święta pracy, nie odpowiedziała nawet bardzo skromnym oczekiwaniom polskich organizacyi socyalistycznych. W jednem tylko Buffalo, pod gołem niebem przemawiali obok niemieckich, angielskich i żydowskich mówców — i 3 polskich z osobnej trybuny do kilkuset robotników polskich, stojących zwartym szeregiem w kilkutysięcznym tłumie, składającym się z mnogich organizacyi zawodowych. W Filadelfii zaś, New-Yorku, Newarku i Jersey City, mieszczących polskie związki socyalistyczne, brało udział w demonstracyach, urządzonych wieczorem i 4 maja przez towarzyszy innych narodowości, po kilkunastu zaledwie polaków. Świecili swą nieobecnością ci nawet, których się uważa za pozyskanych dla ruchu. Wolą oni tracić swe grosze na balach i obchodach, urządzanych przez t. z. patryotyczne towarzystwa. Wtedy się cieszą, że należą także do „śmietanki“, jak się „narodowcy“ sami tytułują. Widocznie, że trudno im przychodzi wyleczyć się z manii „chorowania na panów“.

Polska Unia stolarska N⁰ 17 w Brooklynie, wegetując długi czas z biedą, upadła skutkiem wyjazdu kilku swych najczynniejszych członków. Podobny koniec, którego jednak nie potrzeba wcale żałować, wzięła „Siła“ w Chicago. Kółko to założone przez kilku robotników, którzy słyszeli, że dzwoniono gdzieś w kościele, i którzy uznali za najlepsze stać się anarchistami, a dla ogółu ukrywać się pod szyldem „Towarzystwa wolnomyślnych“, pozostawiło u robotników polskich tego grodu najgorsze wspomnienie. Odłam członków „Siły“ przeszedł od gadania o „propagandzie czynu“ do samego „czynu“ i utworzył pomiędzy sobą tajemne kółko — podpalaczy! Przez naciąganie kompanii asekuracyjnych na tysiące dolarów chcieli widać tępić kapitalistyczne społeczeństwo i torować zwycięstwo dla klasy robotniczej. Niegłupsza od tych apostołów czynu policya chicagoska niedługo wykryła operacye tej szajki, i smutnie to się zakończyło. Wtedy, całkiem racyonalnie, przyzwoitsi i umiarkowańsi członkowie uchwalili „Siłę“ rozwiązać. Obecnie, co się tyczy ruchu klasowego, pomiędzy ogromną kolonią polską w Chicago, panuje grobowa cisza. To, co dałoby się ochrzcić mianem polskiej imitacyi burżuazyi amerykańskiej, jako to: bogaci ojcowie duchowni, ajenci partyi

kapitalistycznych i poczciwi albo, co najczęściej, niepoczciwi szermierze za „idee narodowe“, gospodarzy sobie pomiędzy ciemnem chłopstwem nad jeziorem Michigan, jak w zabranym kraju. Dobrze im tu. Nie napotykają bowiem tej nawet opozycyi zorganizowanych socyalistów polskich, z którą w kilku miejscowościach „śmietanka“ musi się czasami liczyć. Niezwykłych trzeba będzie wysiłków, aby wyrwać tutejszy lud z letargu, w którym już tyle lat spoczywa przy muzyce płytkich „haseł narodowych“ i kościelnych hymnów. Istniejące w Chicago unie polskich mularzy, cieśli, stolarzy, szewców i krawców zajmują się bardziej wykonywaniem programu bractw kościelnych, niż spełnianiem obowiązków zawodowych związków robotniczych.

Natomiast, dzięki zdolności organizatorskiej ob. R. Grabowskiego, przybył w Filadelfii przed N. Rokiem świeży zastęp bojowników „Związkowi Oddziałów Polskich Socyalistycznej Partyi Robotniczej“. Młodziutka organizacya potrafiła sobie zdobyć przyjaźń lepszego żywiołu i wzbudzić dla ruchu socyalistycznego ciekawość polsko-litewskiej kolonii filadelfijskiej, oszacowanej na jakie 15.000 dusz. Publiczne zebrania, urządzane w grudniu r. u. i w marcu r. b. staraniem nowego oddziału, udały się wcale dobrze, a co najlepiej świadczy o ich skuteczności, wzniecił postrach wśród puszczyków wstecznych idei, trzymających do tego czasu nieograniczone berło władzy nad „przebranymi za mieszczan“ (jak się trafnie wyraża ob. R. G.) chłopami, przeważnie zajętymi nader ciężką i szkodliwą pracą w cukrowniach. Organizacya socyalistów polskich w Filadelfii, mająca odpowiedzialny posterunek, liczy w szeregach swych kilku oddanych całą duszą sprawie towarzyszy. Działalność socyalistyczna jest tam w znacznym stopniu przez to ułatwiona, iż odziani w togę narodową ajenci burżuazyi amerykańskiej, jacy wodzili rej w tem mieście, używają nawet u głupiutkich sławy zwyczajnych wydrwigroszów. Następujące zdarzenie dobrze charakteryzuje gatunek ludzi, sprawujących w polskich towarzystwach kościelno-narodowych urzędy prezydentów i uważających się za świeczniki „narodu“. W toku rozmowy, jaką prowadził jeden z tych „wielkich“ z członkiem oddziału Filadelfijskiego, odezwał się o ruchu socyalistycznym w te mądre słowa: „Muszą oni źle postępować, bo dlaczegoż inaczej miał by ich rząd rosyjski wysyłać na Sybir?...“ Tenże sam filar społeczeństwa polsko-amerykańskiego, deklamujący za drugimi, jak wyuczona papuga, na temat „nasi wielcy ojcowie“, „nasza święta przeszłość“ i rozumie się „honor polski“, zarzucił ob. Fiszlerowi, który na obchodzie powstania styczniowego w Filadelfii, gdzie wzięli także udział socyaliści, mówił przed zgromadzeniem, składającem się z 500 przeszło osób, o stanowisku klasy robotniczej wobec kwestyi niepodległości Polski w duchu materyalistycznego pojmowania historyi, że nie mówił w „duchu narodowym“. Temu byłemu majsterkowi, chorującemu także na pana, nie podobało się widać, że socyaliści chcą Polski dla ludu pracującego.

Powstanie również niedługo staraniem świeżo z Warszawy przybyłego bardzo gorliwego towarzysza, mularza, ob. B. Mokrowieckiego, druga organizacya socyalistyczna w liczącem około 500 dusz polskich miasteczku fabrycznem Passaic przy New-Yorku.

Drugi roczny zjazd oddziałów polskich partyi socyalistycznej, jaki się odbył w lutym r. b. w New Yorku, złożył dowód, że członkowie organizacyi w ciągu roku, ubiegłego od zjazdu w New-Yorku, nauczyli się wielu rzeczy. Debaty, prowadzone w sposób parlamentarny, odznaczały się sumiennością i trzymały się ściśle kwestyi podejmowanych. Przebieg zjazdu pozostawił najlepsze wrażenie na uczestnikach. Najważniejszą uchwałą było obranie komitetu, mającego zbierać fundusze na wydanie pisma. Jest ono gwałtownie potrzebnem wobec udawanej już od lat czterech życzliwości pism, stojących na żołdzie kapitału, dla dążności stowarzyszeń robotniczych, o ile te zajmują się wyłącznie sprawami zawodowemi, ale nie — broń Boże — polityką! Takie przedstawianie ruchu najmickiego w oczach nic nie wiedzącego czytelnika wysoce jest szkodliwem dla agitacyi, której hasłem na teraz musi być przedewszystkiem: „przez akcyę polityczną zrzeszonego proletaryatu do objęcia władzy państwowej na korzyść mas pracujących“.

Ta szkaradna obojętność dla swych najżywotniejszych interesów, jaką się widzi tak u innonarodowców, jak u polskiego robotnika, może czasem ostudzić zapał najbardziej oddanego sprawie ludowej działacza. Wśród słabem tętnem bijącego życia w ruchu, znajduje się jaką taką pociechę w tem, że jest i pomiędzy swoimi garstka towarzyszy gotowych do wszelkich ofiar dla sprawy, odejmujących sobie literalnie kawałek chleba od ust, aby dorzucić centy swoje do funduszu wojennego oraz starających się wedle możności rozszerzać i zagłębiać zakres swej wiedzy światowej.

W. F.

New-York, w czerwcu 1895 r.

Mikołaj Żukowski

(WSPOMNIENIE)

Przed miesiącem zmarł w Genewie jeden z niewielu już przedstawicieli rosyjskiego ruchu rewolucyjnego, którzy dojrzeli i działali w początkowym jego okresie, w chwili pierwszych przebłysków późniejszej walczącej opozycyi. Postać to znana śród szerokich kół emigracyi politycznej różnych narodów, popularna przytem wśród polaków niemniej niż wśród rosyan, typ rewolucyonisty, który łączył w sobie romantyczny niemal zapał dla idei z epoki ubiegłej, praktyczny zmysł w polityce i przejęcie się wszystkiemi zadaniami współczesnych dążeń proletaryatu. Chociaż cenne jego zalety osobiste i wrodzone bogactwo natury zostały w znacznym stopniu zmarnowane nienormalnymi warunkami życia na wychodztwie, chociaż, biorąc nieustanny udział w ruchu, nie zajął w nim wybitnego stanowiska, Żukowski zostawił trwałą pamięć po sobie, szczególniej wśród nas, polaków, jako jeden z rzadkich rosyan, który w niepodległości Polski widział pierwszy warunek wolności Rosyi, w niepodległość tę wierzył i łączył ją nierozerwalnie ze sprawą socyalizmu międzynarodowego.

Pojęcia te zawdzięczał duchowi czasu, w którym stawiał pierwsze kroki na polu polityki; odtąd, pozostając zawsze sobą, odzwierciadlał swym gorącym temperamentem wszystkie niemal fazy, które stopniowo przechodziła rewolucyjna myśl rosyjska, przyjmując to, co miało stać się trwałym dobytkiem przeszłości, odrzucając zaś wszelkie przejściowe naleciałości powstałe z doktrynerstwa, namiętności partyjnych lub poddawania się biegowi wypadków. Był też umysł Żukowskiego niejako streszczeniem dotychczasowej historyi ruchu rosyjskiego, streszczeniem harmonijnem, skrystalizowaną ewolucyą pojęć opozycyjnej inteligencyi. Cecha ta, świadcząca o silnym zmyśle politycznym, robi z jego postaci cenną ilustracyę, żywy dokument społeczno-politycznej umysłowości rosyjskiej.

Czy głęboka sympatya Żukowskiego dla ruchu rewolucyjnego i dążeń do niepodległości w Polsce była tylko pozostałością i odbiciem nastroju, który w szóstym lat dziesiątku niepodzielnie panował śród konspirującej części społeczeństwa rosyjskiego, czy była to polityczna trafność sądu, upatrująca warunek odrodze-

nia Rosyi tam, gdzie urzędowa opinia widzi tylko osłabienie państwa i tamę od Zachodu, czy nakoniec było to bezwiedne odczucie głębokich instynktów, tkwiących w masach rosyjskiego narodu, które pod skorupą mongolskich tradycyj państwowych zachowały pierwotne demokratyczne cechy słowiańszczyzny? Czy podobna postać rosyjskiego rewolucyonisty, który nie wznosi wolności jednych na niewoli innych, była jedną z ostatnich, czy też jedną z pierwszych w tym okresie walki z absolutyzmem?

Odpowiedź kategoryczna, gdyby była możliwą, miałaby niepoślednią wagę dla dalszych uogólnień, dotyczących zarówno ruchu polskiego jak i rosyjskiego: życie jednostki daje często bogaty, a dostępny dla analizy materyał do wnioskowania o społeczeństwie całem, które ją wydało. Przebieg życia Mikołaja Żukowskiego, godny sam przez się uwagi, jest takim właśnie materyałem.

Urodzony w r. 1833 był M. Ż. oficerem armii rosyjskiej w czasie, kiedy z inicyatywy Sierakowskiego powstały pierwsze związki wojskowe. W r. 1861, mieszkając w Petersburgu, zajmował z niejakim Ballodem (skazanym następnie do ciężkich robot) wspólny pokój, w którym znajdowała się tajna drukarnia. Z tej to drukarni wyszła odezwa do oficerów, wzywająca ich, aby nie pozwalali żołnierzom strzelać do bezbronnej ludności Warszawy. Uprzedzony przez przyjaciół o mającej się odbyć rewizyi, ukrywał się przez 8 dni w okolicach Petersburga, a następnie udał się koleją do Wołkowyszek, zkąd pod przybranem nazwiskiem robotnika niemieckiego Fuchsa miał przejść granicę. Według wskazanego adresu zwrócił się do miejscowego żyda, który miał mu ułatwić przeprawę, ten zaś sprzedał go policyi rosyjskiej. Kto wie, czy nie od tego czasu datuje się pewna niechęć ze strony Żukowskiego do żydów wogóle, a szczególniej do licznego ich udziału w ruchu rewolucyjnym rosyjskim; upatrywał on w nich stały pierwiastek rozkładu, jałowego doktrynerstwa oraz obniżenia typu rewolucyjnej inteligencyi.

Więziony w Wołkowyszkach został Ż. odstawiony następnie pod eskortą do Maryampola. Ówczesny Komitet Centralny, mając szeroko rozpostartą organizanizacyę na prowincyi, powziął wiadomość o aresztowaniu rewolucyonisty rosyjskiego i wydał swym ajentom odpowiednie rozporządzenia. Do więzienia zjawił się młody człowiek i rozkazał dozorcy, również członkowi organizacyi narodowej, uwolnić natychmiast Żukowskiego; nazwisko wybawcy pozostało dlań na zawsze tajemnicą. Ukryty w domu jednego z sąsiednich obywateli, doznał tam Ż. gościnnego, wspaniałego nawet przyjęcia, potem z łatwością już przedostał się zagranicę.

Wspomnienie tego drobnego ale charakterystycznego epizodu, a szczególniej niezatarte wrażenie szerokiego powiewu wolności, który z nad Wisły aż do Petersburga przeniknął, głęboko widać zapadło w duszę Żukowskiego, gdyż do końca życia pozostawał pod urokiem organizacyjnej siły powstania i zachował nazawsze wiarę w stanowczy wpływ przyszłej rewolucyi polskiej na sprawę wolności Rosyi. Fakt ten stwierdza raz jeszcze atrakcyjny wpływ ruchu i polityczne jego oddziaływanie na te nawet sfery, których bezpośrednio objąć nie zamierzał. Wpływowi podobnemu miał później uledz i nasz ruch socyalistyczny w pierwszych jego początkach, przypadających na czas najżywszego tętna akcyi rewolucyjnej w Rosyi. Pomimo woli nasuwa się tu do zaznaczenia jeden z czynników, który wpływał i wpływać będzie na stanowisko opozycyi rosyjskiej do niepodległości Polski: im ruch nasz silniejszym będzie a zakrój jego bardziej rewolucyjnym i stanowczym, tem głębiej wryje w umysłowość rosyjską pojęcie o konieczności odrębnego naszego bytu.

Przez Belgię Żukowski udał się do Londynu i trafił wprost do Aleksandra Hercena, z którym wszedł w bliższe stosunki i przez miesięcy kilka zajmował stanowisko korektora w redakcyi „Kołokoła“. Poznał się wtedy i zamieszkał razem z niejakim Martyanowem, chłopem z głębokiej Rosyi, człowiekiem o znacznej wrodzonej inteligencyi i silnym charakterze. Kiedy wybuchło powstanie w Polsce, Martyanow, pomimo strasznego ucisku i upośledzenia, jakiego doznał będąc „poddanym“ a być może właśnie dlatego, że się w tym ucisku urobił, oświadczył się wręcz za rządem przeciwko powstaniu, powołując się na racyę stanu, która wszelką uzurpacyę usprawiedliwia. Napróżno Żukowski bronił z zapałem prawa każdego narodu do zrzucenia nienawistnej mu władzy; widząc przepaść całą, jaka dzieliła go w poglądach od dotychczasowego przyjaciela, rozszedł się z nim i zerwał ostatecznie.

Wpływ Hercena był nowym czynnikiem, który urabiał dalej umysł i pojęcia Żukowskiego, tem łatwiej, że Ż. w jedynym rosyjskim publicyście znalazł zupełne potwierdzenie dotychczasowych swych przekonań. Szeroka a wytrawna myśl polityczna Hercena, program jego — powołania w Rosyi do życia głęboko ugruntowanego w społeczeństwie stronnictwa opozycyi, w zachodnio-europejskiem tego słowa znaczeniu, wymuszania od rządu reform z dołu, pod naciskiem silnej opinii, obok równoczesnego bicia taranem w same podwaliny absolutyzmu, cały ten ruch, który uprzedzał i odpaństwowiał niejako liberalizujące reformy Aleksandra II, nosił w sobie nieznaną w Rosyi ideę wolności, wolności bezwzględnej, wyższej nad racyę stanu, nad sprzedajne interesy wzrastającej burżuazyi, nad zakorzenione przesądy i tradycye państwowości. Kto chce Rosyi, ujarzmiającej inne narody, ten chce absolutyzmu, który by ujarzmienia dotrzymał; kto się powołuje na racyę stanu, ten tem samem do rządu apeluje; — taki był logiczny wynik tych pojęć w stosunku do Polski, tak je rozumiał Żukowski kiedy w ostatnich latach swego życia nawoływał odradzające się opozycyjne stronnictwo w Rosyi do zwrotu ku polityce Hercena. Postulaty polityczne prowadziły go tamże, dokąd wiodło uczucie sympatyi, zrodzone przez pierwszy chrzest rewolucyjny.

W roku 1863 Żukowski osiada na stałe w Szwajcaryi. Wraz z pierwszym kongresem „Ligi pokoju i wolności“ 1867 r. oraz trzema kongresami Internacyonału zawiązał międzynarodowy ruch socyalistyczny na gruncie szwajcarskim i wystąpił na arenę Bakunin, którego gorącym wyznawcą i współpracownikiem stał się Żukowski. Organizuje on kongresy i przyjmuje we wszystkich czynny udział, jest współredaktorem pisma „Solidarité“, organu sekcyi Neufchatelskiej Internacyonału, a w r. 1868 wydaje wraz z Bakuninem i innymi pismo rosyjskie „Narodnoje Dieło“. Potężny temperament Bakunina zawładnął ruchem, chwilowo tylko i częściowo — na Zachodzie, trwalej i niepodzielniej — w Rosyi.

Żukowski stał się zapalonym zwolennikiem i propagatorem ówczesnego kolektywistycznego anarchizmu, który nosił jeszcze wyraźnie piętno indywidualności swego założyciela. Walka z państwem, jako takiem, ale walka polityczna, zupełna autonomia ugrupowań społecznych, oparcie przewrotu na żywiołowym ruchu mas, wiara w bliskość i konieczność tego przewrotu, potężny nakoniec temperament rewolucyjny, wszystko to zapowiadało krucyatę niemal przeciwko despotyzmowi północy, do której nawoływał Bakunin ludy Europy. Wiara w głębokie, społeczne podstawy programu była tak silną, że widziano je wprost w instynktach rosyjskiego ludu, który państwowem życiem nie żyje, zna tylko gminowładztwo słowiańskie, nienawidzi cara jeżeli nie caryzmu gotów każdej chwili podnieść zawieruchę rokoszu, przejść nawalnicą po dzisiejszym ustroju

i oczyścić pole pod nowe zręby wolnej federacyi. Zawiedzione widoki rosyjskiego ruchu po zgnieceniu powstania odżyły nową nadzieją i chwyciły się programu, który te nadzieje gruntował, podsycał i rozszerzał.

Jakkolwiek dalekim był ten optymizm gorącego temperamentu Bakunina od praktycznej polityki Hercena, oba prądy wspólnego miały wroga i wspólnych sprzymierzeńców. Jednaki też był ich stosunek do sprawy wyzwolenia Polski. Mowa Bakunina, wypowiedziana jeszcze w 1847 r. w Paryżu na obchodzie powstania listopadowego, „w rocznicę hańby i wstydu dla rosyanina“ — jak się mówca wyraził — pozostała dla Żukowskiego na zawsze formułą, określającą jego stosunek do ruchów polskich, ta sama też nuta brzmiała często w jego licznych przemówieniach publicznych. Słychac w nich było i oddźwięk bakuninowskiej wiary, że lud pracujący rosyjski nie ma i mieć nie może zaborczych interesów, że chuć panowania i brutalizmu została roznieconą w społeczeństwie przez rząd absolutny i wraz z nim zaniknie. Czy ta „wiara“ nie dozna zaprzeczenia ze strony historycznych faktów, jak wiele innych optymistycznych postulatów teoryi Bakunina — to przyszłość dopiero pokaże. Polityka na tak chwiejnym gruncie oparta ostać się nie może; cześć jednak należy się rosyaninowi, który nie zwątpił w charakter własnego narodu.

Po upadku Komuny paryskiej, kiedy w r. 1871 znaczna ilość wychodzców francuskich szukała przytułku w Szwajcaryi przed kulami wersalczyków, Żukowski zajął się czynnie zorganizowaniem dla nich przytułku i pomocy w Genewie. Jak wiele zyskał sobie przez to wdzięczności i uznania, widać było z licznego udziału komunarów w jego pogrzebie.

Przez lata jeszcze całe zaliczał się Żukowski do coraz mniej licznych przedstawicieli kolektywistycznego anarchizmu, nie przeszkadzało mu to jednak w przykładaniu ręki do każdego przedsięwzięcia, do każdej pracy, którą uznawał za pożyteczną dla sprawy przewrotu w Rosyi.

Ostateczny a świetny tryumf współczesnego socyalizmu robotniczego na Zachodzie nie mógł nie porwać gorącej a nawskroś praktycznej natury Żukowskiego, pomimo odmiennych a zakorzenionych nawyknień myśli. Nie zapisał się on odtąd w szeregi żadnego stronnictwa, ale służył socyalizmowi i walce z rządem rosyjskim wszędzie, gdzie go potrzebowano, i trafnemi radami starał się zetrzeć kanty zbyt przesadnych poglądów. Naradzający się ruch polski znalazł w nim oddanego przyjaciela, pozostawał też w blizkich stosunkach z redakcyą założonej w 1879 r. w Genewie „Równości“.

Podobnie jak zachodni ruch robotniczy pociągał go swym socyalistycznym programem, rozpoczęta świetna walka „Narodnej Woli“ z rządem rosyjskim zadowolniała rewolucyjny jego temperament. Przyklaskiwał jej powodzeniom, dopomagał przedsięwzięciom, ale ani program opanowania władzy, ani wyłączna akcya terorystyczna nie stały się nigdy wyrazem politycznych jego pojęć.

Cisza jaka w ostatnich latach zaległa wśród opozycyi rosyjskiej, zwróciła znów uwagę i nadzieje Żukowskiego na rewolucyjny ruch w Polsce. Widząc, jak potężny niegdyś prąd socyalistyczny w Rosyi nikłe wydał owoce, jak wskutek nieudolności programowej krzyżował często akcyę polityczną zamiast ją wzmacniać, przeniósł Ż. grunt swych aspiracyi socyalistycznych do Polski i nie przestawał powtarzać, że pod tem tylko hasłem Polska wyzwolić się może. Fakt zjednoczenia naszych sił socyalistycznych około jednego nowego programu, założenie P. P. S. oraz Zw. Zagr., fakt, który — rzecz dziwna — nie wywołał wśród nas nawet odpowiedniego do swej wagi wrażenia, był w oczach Żuk. momentem przełomowym, decydującym niemal o losach dalszego ruchu. Być może, że zwykła mu trafność politycznego sądu i tym razem go nie zawiodła. Na żadnym z naszych towarzyszów nie widać było takich oznak radości ze spełnionych przewidywań, z otwierających się nowych nadziei, jak na twarzy tego rosyanina, w chwili, kiedy powtarzał z dumą: „i ja do tego ręki przyłożyłem.“

Mówiąc wśród polaków o potrzebie oparcia dążeń narodowych na ruchu socyalistycznym, niezmordowanie szerzył Żukowski wśród rosyan pojęcie o nierozerwalnej łączności sprawy wolności w Rosyi ze sprawą wyzwolenia Polski. Jak ważne miejsce idea ta zajmowała w jego życiu, świadczyć może ten fakt, że, z za grobu niejako, ustami swych politycznych przyjaciół, rzucił Żukowski licznie zebranej na pogrzebie publiczności raz jeszcze to hasło, którem się tak za życia przejął. Ob. Lefrançais imieniem francuzów podniósł jego stosunek do Polski jako najpiękniejszy wieniec zasługi; ob. Dobrowolski w imieniu rosyan oświadczył, że zgodnie z moralnym testamentem zmarłego rewolucyoniści rosyjscy zawsze popierać będą walkę o niezależność narodu polskiego.

Głos ten, podnoszący hasło, stale podawane przez najwybitniejszych przedstawicieli rosyjskiej politycznej myśli, nie może być głosem ostatnim.

S. L.

Z Rosyi

NACZELNICY ZIEMSCY

Znowu musimy zwrócić uwagę naszych czytelników na naczelników ziemskich, ten najświeższy produkt despotyzmu carskiego, i to tem bardziej, że mnożą się głosy przepowiadające zaprowadzenie ich u nas. Między innymi tryumfował przed kilku miesiącami „dobrowolnie urzędowy“ „Kraj“ z powodu pogłoski, że Wołyń, Podole i Ukraina mają być zrównane w „prawach“ z guberniami rosyjskiemi, czyli mają dostać rosyjskie urządzenia autonomiczne (ziemstwa), a zarazem i wykonawcze — naczelników ziemskich. Po krótkim czasie wiadomość powyższa sprostowana została o tyle, że naczelnicy ziemscy mają być wprawdzie ustanowieni, ale o zaprowadzeniu ziemstw nikt nie myśli. Takie „zrównanie w prawach“ bardzo jest prawdopodobne, innego spodziewać się nie możemy, chociaż i na wprowadzeniu ziemstw nie wiele byśmy zyskali, gdyż zostały one pozbawione możności czynienia czegokolwiek, oprócz obsadzania urzędów protegowanymi szlacheckimi i wysyłania adresów „wiernopoddańczych“. Ale wróćmy do przedmiotu.

Otóż gazeta rosyjska „Russkije Wiedomosti“ podaje w numerze 343 z r. z. okólnik pewnego naczelnika ziemskiego gubernii Tulskiej, wystosowany do właścicieli ziemskich. W okólniku tym nacz. z. powołuje się na takiż cyrkularz gubernatora tulskiego; ten ostatni dygnitarz uznał za stosowne zakroczyć ostro przeciw rzekomemu lenistwu chłopów, nie dbających wcale o zapracowanie pieniędzy na opłacenie podatków i wezwał naczelników ziemskich do wynalezienia „środków odpowiednich“ dla napełnienia pustych kas państwowych. Pan nacz. z. po swojemu zrozumiał to wezwanie i po swojemu też czyni mu zadość. Najprzód udziela on właścicielom ziemskim światła swego doświadczenia:

„Zbadawszy dokładnie mój cyrkuł pod względem gospodarskim i moralnym — pisze on — przyszedłem do następującego przekonania: chłop pracuje z takiem wyrachowaniem, by mu wystarczyło tylko na przeżycie w ciągu roku, ale wcale nie myśli o poprawie

swego gospodarstwa, a również i o obowiązkach, mianowicie płaceniu podatków; jednocześnie zbadał on prawo, nie dozwalające fantować wszystkiego, co jest mu nieodzownie potrzebne, władza nie może go zatem niczem przestraszyć; oto dlaczego nie stara się on nabyć cośkolwiek zbytecznego".

Wobec tego, powiada nasz nacz. z., koniecznem jest zbudzenie włościan z ich snu i przymuszenie ich do pracy na pokrywanie powinności skarbowych; to zaś może być zrobione tylko przy pomocy pp. właścicieli dóbr; trzeba, żeby oni postanowili nie wypłacać włościanom zapłaty za robotę do rąk własnych, ale oddawać takową „starszynom" (wójtom) i „starostom" (sołtysom), ci zaś potrącaliby zaległości podatkowe, a resztę wręczaliby włościaninowi. W ten sposób włościanie zostaliby zmuszeni pracować więcej, niż obecnie, gdyż inaczej nie zarabialiby wcale na swoje utrzymanie. „Ja zaś, ze swej strony, jako naczelnik ziemski, zapewniam pp. właścicieli dóbr, że *zmuszę* włościan pracować tak, jak pracować należy i proszę, w razie jakiegokolwiek niedbalstwa niższych organów władzy, mających możność skłaniania do pracy nieposłusznych robotników, zwracać się do mnie ze skargami niezwłocznie, przyczem obiecuję karać srogo winnych. Dodaję, że dla urzeczywistnienia proponowanych przezemnie środków, mających na celu wyprowadzenie włościan z ich apatyi, konieczną jest solidarność wszystkich pp. właścicieli dóbr."

Oczywista rzecz, że „pp. właściciele dóbr" z entuzyazmem pochwycą projekt pomysłowego naczelnika z. i nie omieszkają go wykonać. Zapewnia on im bowiem taniego i posłusznego robotnika: chłop, grunt którego zwykle w Rosyi nie wystarcza na utrzymanie, będzie musiał sprzedawać swą pracę właścicielowi, zwiększona konkurencya obniży i tak nędzną płacę roboczą, zaś krnąbrni będą „budzeni z apatyi" przy pomocy kułaków i szabel „uriadników". A wyobrażamy sobie, jak to ślina musi cieknąć do gęby niejednemu naszemu szlagonowi przy czytaniu o podobnych rozporządzeniach i jak ponętnem musi mu się wydawać owe „zrównanie w prawach" z Rosyą!

My zaś dziś już powinniśmy sobie zdawać sprawę z niebezpieczeństwa, które nam grozi. Instytucya nacz. z. jest ni mniej ni więcej, jak tylko zamaskowanem przywróceniem pańszczyzny. Widzieliśmy już, że nacz. z. karają więzieniem lub chłostą włościan, którzy nie okazują należnego szacunku dla szlagonów, np. nie zdejmują czapki przy spotkaniu, że wszystkie sprawy, w których jedną stronę stanowi włościanin, drugą pan, rozstrzygają na korzyść tego ostatniego, teraz mamy nowy obrazek tych roskoszy, które spadłyby na naszych włościan w razie oddania ich w jasyr naczelników ziemskich. Powinniśmy zatem zawczasu wskazać włościanom, co ich może oczekiwać, żeby ta próba zaprowadzenia u nas mongolsko-pańszczyznianych stosunków tak samo rozbiła się o niezłomny opór włościanina, jak nieraz już spełzły na niczem zamachy rządu, skierowane przeciwko robotnikom miejskim.

Z KRAJU I O KRAJU

Na posterunku

W poprzednim i niniejszym numerach „Robotnika" pomieściliśmy wystosowane do nas listy dwóch wodzów socyaldemokracyi niemieckiej — towarzyszy Bebla i Liebknechta. Obydwaj, wyrażając swe współczucie ruchowi robotniczemu, wzrastającemu w ciężkich nienormalnych warunkach, wskazują zarazem na wielkie znaczenie, jakie dla międzynarodowego ruchu wogóle, a niemieckiego w szczególności, ma socyalizm w Polsce. Marks w mowie, ogłoszonej w tegorocznej jednodniówce, Engels w rozmaitych artykułach, w szczególności zaś w „Zagranicznej polityce caratu", również podkreślają ścisły związek pomiędzy prądami rewolucyjnymi, które nurtowały Europę w ciągu ostatniego stulecia, a ruchami powstańczymi w Polsce.

Znaczenie to ruchów polskich dla Europy jest wytworem historycznych warunków, które Polskę — kraj kulturalnie z Zachodem związany — oddały w ręce Rosyi, będącej od czasu swego wystąpienia na widownię historyczną stałą podporą reakcyi i wiecznym mieczem Damoklesa nad głową wszelkich ruchów postępowych.

W ciągu całego stulecia w każdym ruchu rewolucyjnym da się postrzedz zaznaczony wyżej stosunek.

W końcu zeszłego wieku wybucha we Francyi rewolucya. Obala ona u siebie tron króla, znosi przywileje szlachty i duchowieństwa, ogłasza równość wszystkich przed prawem i wypowiada wojnę despotycznym rządom w innych krajach. Wystraszeni mocarze i możni świata ówczesnego chcą zgnieść rewolucyę w samych jej początkach, gdy jeszcze jest ona za słabą, by stawić opór zjednoczonym siłom wrogów. Lecz wtedy, w 1794 r., Polska, w której zasady rewolucyjne znalazły słaby odgłos, ściąga na siebie ciosy sprzymierzonych mocarstw, dzięki czemu płomień rewolucyjny we Francyi rozrasta się w taki pożar, że go później całe morze krwi wylanej nie potrafiło zagasić.

Nie odrazu jednak urzeczywistniły się zasady Rewolucyi francuskiej — równość wszystkich przed prawem i wola ludu - źródłem wszelkiego prawa. W niektórych krajach hasła te nie stały się ciałem dotychczas. Raz po raz w 1830, 1848 latach ze środowiska ówczesnego ruchu — Francyi — rewolucya zatacza szerokie koła po całej Europie, wszędzie porusza umysły, wstrząsa i obala stare strupieszałe formy polityczno-społeczne. Fale rewolucyjne odbijają się tylko o skałę reakcyi — Rosyę, gdzie car żelazną ręką rządy sprawuje, a opierając się na pokorze i braku świadomości swego ludu, stara się podtrzymać gdzieindziej walącą się a drogą jego sercu budowę społeczną i dusić wszelką myśl o swobodzie. Związuje mu tylko nieraz ręce w tej działalności reakcyjnej Polska, ciągle swą „buntowniczością" sprawiając mu kłopoty i paraliżując jego zamiary. Polacy również licznie uczestniczą we wszystkich ruchach rewolucyjnych na Zachodzie, służąc i pozagranicami ojczystego kraju sprawie wolności. Wszystko to wznieca dla nich w kołach rewolucyjnych szczególną sympatyę, odgłos której znajdujemy i w liście tow. Liebknechta, gdy pisze on, że „odkąd w 1848 i 1849 r. walczyłem ramię w ramię z polskimi ochotnikami za republikę a przeciw wrogom ludu, nie mogę sobie wyobrazić walki o wolność bez polaków".

W drugiej połowie bieżącego wieku szala zwycięstwa stanowczo się przechyla na stronę reformatorów, lecz plony tryumfu zbiera tylko mniejszość zapaśników — burżuazya. Zasypia ona na laurach i nie myśli już o dokończeniu swego dzieła, a dla „pozytywnych" korzyści wymienia swe ideały wolnościowe na brzęczącą monetę. Kapitalizm się rozwija, zlewa burżuazyę z wczorajszymi jej wrogami — szlachtą — w jedną klasę posiadaczy, lecz natomiast powstają do samodzielnego życia masy pracujące, idące do niedawna na pasku u burżuazyi.

Klasa robotnicza upomina się o swe sprawa u zwycięsców. Ruch socyalistyczny, z początku nieznaczny i nie wzbudzający niepokoju w klasach posiadających, prędko dochodzi do takiej powagi i znaczenia, że dzisiaj, stanowczo rzec można, niema innej kwestyi w Europie, jak kwestya robotnicza.

Hasło: „Proletaryusze wszystkich krajów, łączcie się!", wypisane na czerwonym sztandarze, który odtąd staje się sztandarem postępu, obiega wszystkie zakątki

świata cywilizowanego, jednoczy milionową rzeszę pracujących w ogromną armię robotniczą, walczącą o zniesienie wszelkiego ucisku i wyzysku.

Najemnictwo odtąd dobiega już swego końca, a na horyzoncie coraz wyraźniej i jaśniej błyska jutrzenka z nieubłaganą koniecznością zbliżającego się lepszego jutra, które, będąc urzeczywistnieniem ideałów klasy robotniczej, tem samem zapewni szczęście ludzkości całej.

Równocześnie, wśród różnych obozów posiadaczy milkną spory i dotychczasowi rzecznicy i obrońcy wolności wobec powstającej siły mas robotniczych podają dłonie swoim przeciwnikom dla wspólnej obrony uprzywilejowanego stanowiska wyzyskiwaczy.

Ta sama zmiana zaszła w Polsce. O ile świadomość socyalistyczna wśród ludu roboczego wzrasta, o ile samodzielnie staje on w obronie swych praw, gwałconych przez gospodarkę rozwijającego się kapitalizmu i przez rządy zaborcze, — o tyle przedstawiciele klas posiadających zapominają o swych dotychczasowych ideałach politycznych. Widzimy ich teraz i pod zaborem austryackim, i pod pruskim, i u nas w szeregach obrońców istniejącego porządku, pokornie żebrzących o pomoc przeciwko powstającym robotnikom u rządów, z którymi wczoraj jeszcze bój zacięty toczyli.

Zmieniły się czasy, lecz położenie międzynarodowego ruchu postępowego, którym dziś jest ruch robotniczo-socyalistyczny, zostało dawniejszem. Jak dawniej, tak i teraz ruch ogarnął cały zachód Europy, znalazł swe odbicie w Polsce i zatrzymał się przed chińskim murem, który oddziela Rosyę od Europy.

Jak dawniej królowie i uprzywilejowani czekali pomocy cara, dla którego nie istniała kwestya uszczuplenia jego władzy, tak teraz oczy wszystkich posiadaczy Europy z utęsknieniem zwracają się ku wschodowi, gdzie według twierdzenia cara i jego służalców „kwestya socyalna, męcząca Europę, nie istnieje“. Przed naszemi oczami równolegle do wzrostu socyalizmu w Europie wzrasta znaczenie i powaga Rosyi wśród jego wrogów.

Taki stosunek sił postępowych i reakcyjnych stawia nas, socyalistów polskich, w szczególne położenie międzynarodowe, na które właśnie wskazują nam nasi zachodni towarzysze.

Polska klasa robotnicza przy pierwszych swych krokach naprzód napotyka przestarzałe, nieodpowiednie dla niej, a narzucone przemocą formy polityczne. Z konieczności, w imię własnych interesów wystąpić ona musi do walki z caratem. A walcząc z nim, osłabiając jego siły, rozbija ona ostatnią nadzieję klas posiadających w Europie zmniejsza opór reakcyi w walce z socyalizmem. Rolą historyczną socyalizmu w Polsce jest rola obrońcy Zachodu od zaborczego i reakcyjnego caratu.

Nie wyczerpuje to jednak międzynarodowego zadania naszego ruchu. Socyalizm w Polsce jest najdalej na wschód posuniętą jego placówką. Okoliczność ta stwarza zeń naturalny punkt oparcia dla wszelkich początkujących ruchów socyalistycznych u sąsiadów ze wschodu. Istnienie i rozwój socyalizmu w Polsce dodaje otuchy wszystkim siłom opozycyjnym w państwie rosyjskiem. „Robotnik“, „Przedświt“, nasze proklamacye i wydawnictwa znajdują coraz szersze uznanie nietylko u litwinów i rusinów, gdzie ruch socyalistyczny rozwinąć się może pod bezpośrednim wpływem wzrostu ruchu polskiego, lecz i u rosyan. Otrzymujemy wciąż wiadomości o tem, że rosyanie uczą się polskiego języka, że chcą tłómaczyć nasze wydawnictwa itd. Język polski staje się językiem socyalizmu na wschodzie. Zrozumieli już to i obrońcy porządku, gdy, jak nam donoszą z Rosyi, żandarmi uważają za oznakę nieprawomyślności politycznej posiadanie polskiego języka przez rosyanina i rozumie się, b i się car polszczyzny nie dlatego, że jest ona polską, lecz dlatego, że niesie ona najniebezpieczniejszą dla niewoli naukę — naukę o potrzebie i konieczności walki z uciskiem i wyzyskiem.

(„Robotnik“)

Radom. W wyjaśnieniu korespondencyi z Radomia (przedrukowanej przez nas w N⁰ 5 P. z N⁰ 7 Robotnika), komunikują nam, iż ze strony majstra Goździkowskiego i kasyera Hertla donosu do żandarmów nie było: dowiedzieli się oni o sprawie, wzmiankowanej w korespondencyi, sami. Ostrzegamy jednak przy tej okazyi, że mieszanie się w jakikolwiek sposób do funkcyi, będących zadaniem carskiej policyi (odbieranie proklamacyi itp.), z konieczności pociągać za sobą musi identyfikowanie ich z siepaczami caratu, co dla niejednego nawet z przeciwników naszych przyjemnem być nie może.

Z cytadeli. Znowu stał się w cytadeli zdumiewający swoją zgrozą fakt. Jeden z uwięzionych (nazwiska dotychczas nie wiemy), nie mogąc przenieść żandarmskich dręczeń, zamknięty do „ciemnej“, podpalił się tam, korzystając z nagromadzonej słomy. Nadbiegł na to prosty żandarm i z łatwością ogień zagasił, a szukającą śmierci zrozpaczoną ofiarę pobił w straszliwy sposób.

(Robotnik).

Kandydat na szpicla. U niejakiego Michajłowa, urzędnika kolei obwodowej, widziano kopię podania o przyjęcie go na szpicla.

(Robotnik).

Wyroki .Do listy wyroków ogłoszonej w N⁰ 4 „Przedświtu,“ dodajemy za N 7 „Robotnika“ skazanych na $1^1/_2$ roku więzienia i 5 lat Wschodniej Syberyi: Raciborskiego, zecera, Czarkowskiego, mularza, i Wieczyńskiego, krawca. Czas siedzenia w cytadeli i na Pawiaku zaliczono im, jako więzienie, pozostaje tylko zesłanie. Tow. Marciniak, stolarz, wysłany został na 4 lata do Irkucka.

Nasi księża. — Otrzymaliśmy z kraju następującą odezwę w manuskrypcie:

„Biedny i uciśniony kraj nasz nie posiada prasy a przeto i opinii publicznej, która by mogła chłostać swobodnie: fałsz, egoizm, chciwość i namiętności swych obywateli; uginając się pod ciosami, losem sprowadzonymi z zewnątrz, społeczeństwo nasze nie ma najskromniejszych środków reagowania na ból i rany wewnętrzne, a tymczasem ten ból i rany wzmagają się, obezwładniając jego organizm. — Zewnętrzne pociski, choć nieraz mocno bolesne, nie są jednak tak straszne, niebezpieczne, bo, 'ubi irritatio, ibi evolutio,' pod groźbą siły żywiołowej społeczeństwo więcej się skupia, jednoczy swą siłę odporną, hartuje się, nabierając zdolności łatwiejszego odbijania ciosów, lecz stokroć zgubniejsze są rany wewnętrzne, — podkopany przez nie organizm, wydaje głos cichej boleści, jęku, żalu, gdy otwarcie swego bólu wyrazić nie może, gdy mu nie wolno krzyknąć głośno '*usuńcie robaka, co toczy wnętrzności*'!“

„Oto te słów kilka niech będzie wyrazem bólu, żalu i oburzenia od pokrzywdzonego społeczeństwa dla Was, panowie duchowni, którzy dziś nawet niesłusznie nosicie ten tytuł, mając tak mało ducha, tak mało tego pierwiastku idealnego, który pokrzepia zbolały w ucisku nasz lud. Wy, co powołani jesteście łagodzić wszelkie rany społeczne, Wy je jątrzycie swem egoistycznem postępowaniem, dochodzącem dziś niemal do cynizmu! Postawieni na straży naszej wiary, zamiast być, w chwilach zamachów przeciwko wierze i kościołom, na posterunku i odbijać zamachy w imię nietykalności tych dźwigni naszego narodu. Wy, tam gdzie Was potrzeba jesteście nieobecni, kryjecie się w obawie, wyimaginowanej nieraz tylko, postradania cząstki stworzo-

nego sobie dobrobytu, a co gorsza, co już ostatecznie Was potępia, to wyraźnie ujawniona ostatniemi czasy uległość Wasza wobec nielegalnych żądań miejscowej administracyi, mająca w skutkach szkodę w sferze obrządków, kanonów i niemal już dogmatów wiary. — A co może być dla Was droższego, skoro mianujecie się sługami Boga, który krew za wiarę przelewał? — Dziś przelewa ją lud, jak to świadczy krwawa scena krożańska, Wy zaś w chwilach niebezpieczeństwa przeskakujecie do obozu wroga, który sam dziś pogardza Wami, wyraziwszy się przez usta obrońcy na sądzie o ks. Możejce jako o złodzieju, co w nocy skradał się do kościoła w celu przyczynienia się do sukcesów uzbrojonego wroga; o ks. Renackim, jako lisie, co wymykał się chyłkiem wobec niebezpieczeństwa, a innych nazywając świtą Klingenberga. — Za co też wdzięczny rząd, orderując Klingenberga, nie zapomina i o Was, udzieliwszy niedawno ks Pacynce order na szyję, który wisieć ma obok godła kapłańskiego. — Za co kapłan katolicki orderowany być ma przez rząd? .... przecie nie za sumienne wypełnianie obowiązków prześladowanego kościoła. — Żyjąc i działając wśród tak silnie wierzącego ludu, Wy trzymacie przecież w swych rękach siłę narodową, co zdolną jest wzbudzać postrach wśród napastników, Wy, zamiast czynami swymi wzbudzać wśród ludu otuchę w obronie wiary i kościoła, Wy obezwładniacie go swą zdradą, a w normalnych warunkach wyzyskujecie jego fanatyzm religijny i płynącą zeń ofiarność na swoją korzyść, bo w bankach nie brak waszych kapitałów, których cząsteczki pożałowaliście na pogrzeb ś. p. biskupa Awdziewicza, na udział biskupów z innej dyecezyi, wreszcie na asekuracyę kościołów; na ulicach nie brak Waszych powozów z własnymi końmi (ks. Pacynka), wówczas gdy lud o bosych nogach przechodzi dziesiątki mil, dążąc do Kalwaryi, gdzie szuka pokrzepienia dla uciśnionego ducha, a nocuje pod gołem niebem."

„I Wy z kazalnicy głosicie słowo Boże, nawołujecie do naśladowania Chrystusa! propagujecie zatem ubóstwo, obowiązki bronienia wiary! Niestety, wygląda to na hypokryzyę urzędniczą! Wam by należało słuchać i naśladować ten lud, który zna lepiej od Was obowiązki względem swego kościoła. — A tymczasem zechciejcie wysłuchać głosu pokrzywdzonego przez Was społeczeństwa, które widzi grożące z Waszej strony niebezpieczeństwo, widzi w Was robaka, podkopującego jego organizm, a nie mogąc przemówić do Was z kazalnicy, jak to Wam przysługuje, musi przez usta swych obywateli skierować ku Wam te kilka słów gorzkiej prawdy, a zarazem przypomnieć Wam, że byli jednak niedawno prawdziwi kapłani, godni naśladowania: ks. Piotrowicz, biskup Hryniewiecki, ks. Łabuk, żyjący w pamięci

Katolików Wileńskich.

Wilno, d. 9 czerwca 1895 r."

Odezwa ta mówi sama za siebie. Bezeceństwa księży naszych zaczynają otwierać oczy nawet najcierpliwszym. „Robotnik" warszawski i nasi korespondenci coraz częściej pokazują nam księży uciśnionego kościoła katolickiego, dobrowolnie przyjmujących na siebie funkcye policyjne. Tak jest prawie zawsze przy każdem starciu się pracy z kapitałem, tak jest nawet i w innych wypadkach. Dość skinienia kogoś z hordy najezdniczej, zalewającej nasz kraj, by znalazł się zaraz na usługi rządu jakiś klecha. Ba, nie trzeba i skinienia, podlą się oni z własnego popędu. Toż widzieliśmy świeżo księdza Chełmickiego, piejącego hymny chwalebne na cześć oberpolicmajstra Klajgelsa w „Dzienniku Poznańskim".

Ale widzimy gorsze jeszcze rzeczy. Księża zdradzają lud nawet w jego uczuciach religijnych, frymarczą poprostu wiarą. Jednak czyż i to jest tak nowem? Czy „katolicy wileńscy" zapomnieli o haniebnej pamięci Sęczykowskim z Mińska? Sprawki Żylińskiego też nie są tak dawne

Pora byłaby przekonać się, że u większości księży niczego oprócz „hipokryzyi urzędniczej" doszukać się nie sposób. Może i teraz są wyjątki, ale są to w każdym razie jednostki tak nieliczne, że nikną w całej masie Pacynków, Renackich i Sęczykowskich.

Pora byłaby nawet „katolikom wileńskim" przestać oglądać się na duchowieństwo, znikczemniałe, jak wszystkie nasze klasy uprzywilejowane. Wszyscy pokrzywdzeni i uciemiężeni przez ohydne porządki, u nas panujące, obrońców znaleść mogą tylko w szeregach uświadomionego proletaryatu, w partyi socyalistycznej. Niech się tam zwrócą „katolicy wileńscy", dowiedzą się wtedy między innemi, że kraj nasz nie jest tak ogołocony z *wolnej* prasy, jak im się zdaje: w Warszawie wychodzi „Robotnik", i on razem z naszym „Przedświtem" są jedynymi organami tej opinii, która nie poszła na służbę Szuwałowów i Klingenbergów, a — chłoszcze swobodnie „fałsz, egoizm i namiętności".

Niewinny p. Lesznowski. Dzielimy się z czytelnikami naszymi tymczasem następującymi szczegółami sprawy p. Leszn. Po śmierci Aleksandra III p. Lesznowski umieścił z własnego *niczem nie przymuszonego popędu* artykuł, w najhaniebniejszy sposób wysławiający pamięć cara. Nie był to bynajmniej „urzędowy" wyraz „ugodowej" polityki naszych stańczyków, gdyż ugodowa polityka posługuje się innym organem warszawskim. Występując z owym artykułem, p. Leszn. działał zatem pod wpływem *pobudek czysto osobistych*, chociaż uznajemy, iż jeden ten fakt nie wystarcza na określenie, czy owe pobudki osobiste były charakteru „moralnego", czy też „brzęczącego". Na jednym artykule jednak p. Leszn. nie poprzestał, lecz prowadził kampanię „ugodową" systematycznie dalej; jednocześnie zaś uwagę czytelników Gazety Warszawskiej zwróciły na siebie uderzająco szczegółowe i dokładne opisy *urządzenia sal w zamku,* umieszczane w tem piśmie. Wreszcie — w sferach bardzo dobrze poinformowanych twierdzą, że p. Leszn. był tym redaktorem, który *zwracał się do Jankulia* (prezesa komitetu cenzury) *z prośbą o przedstawienie Szuwałowowi.*

Tyle na dziś. W każdym razie, jeśli p. Leszn. zdecyduje się usłuchać rady „Przeglądu Wszechpolskiego" i oddać swą sprawę pod rozpatrzenie „ludzi znanych z prawości i posiadających zaufanie ogółu", to powinien im wytłomaczyć i fakty powyżej przytoczone. A najwyższy już czas, żeby sfery, w których się p. Leszn. obraca, wyjaśniły sobie stosunek do tej sprawy. O pójściu p. Leszn. na służbę gadzinową opowiadają w Warszawie dość już dawno. Charakterystycznem wszakże jest to tchórzowstwo, które nie pozwalało „miarodajnym" sferom naszym zajrzeć prawdzie w oczy, dopókąd sprawy nie postawili na porządku dziennym.... socyaliści. W jednym z najbliższych N^{0} przyjrzymy się tym stosunkom bliżej, nie wszystko bowiem jest w porządku nawet w lepszej części burżuazyjnej prasy naszej, i to od dość dawna. Oddawna zagnieździł się tam serwilizm do tego stopnia, że młodzież warszawska musiała „czynnie" uczyć moralności politycznej „czoło dziennikarstwa warszawskiego". A w błocie serwilizmu „bezinteresownego" muszą z czasem wylęgnąć się i płatne gadziny.

Ostrzeżenie. — Towarzysze z Dąbrowy proszą nas o umieszczenie następujących nazwisk robotników, jako nie zasługujących na zaufanie towarzyszy, a więc których wystrzegać się należy: w Hucie Bankowej — Grzywa, Widmański; u Fitznera i Gampera — Cieślik, Pawela, Chmielewski, Klimasiński. Towarzysze z Zawiercia ostrzegają przed 2-a osobi-

stościami: Szcześniakiem, praktykantem w tkalni, i Cyterbaumem, ekspedytorem towarowym.

(„*Robotnik*".)

Aresztу. — W nocy z 14 na 15-ty czerwca odbyło się kilka rewizyi i aresztów. Wzięto przyrodnika Trzebińskiego oraz pannę Paszkowską, mieszkającą przy czytelni Lichtańskiego na ul. Szpitalnej. Jak powiadają, brama tego domu, gdzie jest czytelnia, była szczelnie zamknięta do południa i nikogo z domu nie wypuszczano na ulicę. W czytelni przez dwa dni siedział komisarz policyi, kontrolując przychodzących. Aresztowano tam jakiegoś studenta, a wreszcie wzięto do cytadeli samego p. Lichtańskiego, znanego lojalistę i stronnika zlania się polaków z rosyanami.

Oprócz tego podobno, przyłapano dwa zebrania robotnicze: na Pradze i na Nowolipiu. Na Pradze zabrano jakieś czcionki. W nocy z 23 na 24 czerwca i w parę dni potem powtórzyły się znowu aresztу. Ogółem ilość ostatnio aresztowanych dochodzi do 100. Dużo osób wzięto z ulicy lub z zasadzek, zostawionych na mieszkaniu uwięzionych. Zasądzka taka w czytelni Lichtańskiego (którego w chwili obecnej podobno już wypuszczono) funkcyonowała 10 dni, wszystkich przychodzących zatrzymywano.

(*Robotnik*)

Strejk lwowskich ceglarzy.

Do budowy domów we Lwowie dostarcza cegły 22 cegielnie na przedmieściach i w najbliższej okolicy Lwowa. Liczba robotników, zajętych przy cegielniach podczas okresu roboczego od 1 maja do końca września wynosi 1.400 ludzi. Czas roboczy przy maszynach i piecach wynosi 12 godzin pomimo, że jest to przemysł fabryczny i wedle ustawy przemysłowej dzień roboczy nie powinien być dłuższy nad 11 godzin. Przy *stolikach* (płaca od tysiąca) czas roboczy na dobę trwa *„jak widno"*, a więc *16 godzin*, o 5 godzin dłużej, niż ustawa pozwala. Przy robieniu ręcznej cegły często i w *święta* trzeba pracować, jeśli deszcz grozi, bo przedsiębiorcy dla oszczędności nie chcą dostarczyć dobrego schroniska dla gotowej pracy. Często i w *nocy* zrywać się trzeba, aby uchronić cegłę od zmoczenia, bo jej nie przyjmą.

Płaca robocza wynosi: maszynistów przeciętnie 500 złr. rocznie = 9 złr. tygodniowo, heicera 5 złr. tygodniowo, dowozicieli gliny i odwozicieli cegły maszynowej 60 — 70 ct. dziennie, układaczy w komorach pieca 12 — 16 ct. od 1000 cegieł, palaczów w piecach (węgli nawieźć, palić dzień i noc, wyczyścić komorę, zamurować otwory) 36—50 ct. od tysiąca cegieł. Robotnicy zaś przy stolikach zarabiają po 2 złr. do 2.40 od tysiąca w trzech. Chłopcy przy stolikach zarabiają dziennie po 32 — 60 ct., a kobiety po 40 ct. przez 3 miesiące, po 30 ct. przez 2 miesiące. Podczas niepogody naturalnie odpadają dni zarobkowe, tak że w tygodniu, odtrąciwszy święta i deszcze, wypada przeciętnie 4 dni robocze czyli na całą kampanię ceglaną 5 miesięcy w roku, czyli 22 tygodnie czyli 88 dni roboczych. — Przy każdej cegielni zatrudniony 1 cieśla z płacą 80 ct. do 1 złr. choć wedle cennika należy mu się najmniej 1 złr. 30 ct. Na zimę zatrudnioną jest zaledwie dziesiąta część robotników ceglarzy, a więc około 150. Nic też dziwnego, że ceglarze żywią się chlebem najgorszej jakości, jaki we Lwowie dostać można i zakupują go na cały tydzień. Aby przyjechać do pracy (trzy czwarte robotników jest z powiatu brzozowskiego, 24 mile od Lwowa) muszą zaciągać pożyczki u właścicieli cegielni, tzw. zadatki. Oprócz tego przykuwa robotnika do cegielni zmowa przedsiębiorców. Robotnik, gdy podziękuje za pracę w której cegielni, może być pewny, że wobec zmowy cegielników w drugiej cegielni pracy nie dostanie. Robotnicy mieszkają w barakach, do których słońce i wiatr zaglądają przez szpary. W barakach znajdują się tapczany (lub nic), słoma rozrzucona i zgnojona, raz na rok zmieniana — najczęściej, gdy się spodziewają odwiedzin p. inspektora przemysłowego. Nad rzeszą półtora tysiąca robotników panuje 22 przedsiębiorców.

Przypatrzmy się, co zyskują przedsiębiorcy na robotnikach. Dziennie wyrabia się cegły do 500 tysięcy, czyli przez okres letni roboczy 45 milionów cegieł. Przed zmową przedsiębiorców brali oni od budowniczych za cegłę po 11 do 12 złr., po zmowie w r. 1894 zrobionej biorą po 16 do 18 złr. za tysiąc cegieł. 765.000 złr. płynie rocznie do kieszeni właścicieli cegielni, czystego zysku zaś 300 tysięcy reńskich, a robotnicy co mają? Śpią na słomie w barakach, a z ich pracy setki pięknych kamienic i tysiące pokoi wybudowali we Lwowie, jedzą najgorszy chleb i pracują po 16 godzin dziennie i przez 7 miesięcy w roku patrzą, jak deszcz lub śnieg pada. Czy można podczas trwania pracy przez 88 dni w roku zaoszczędzić na resztę roku?

Wobec takich stosunków byli robotnicy ceglarscy zmuszeni rozpocząć walkę o polepszenie swej doli.

Z każdej cegielni wybrali delegatów, którzy na wpólnem posiedzeniu poufnem uchwalili założyć stowarzyszenie zawodowe na Galicyę i Bukowinę i na razie udzielić redakcyi „Nowego Robotnika". a mianowicie tow. Fraenklowi i Kozakiewiczowi pełnomocnictwa do przedłożenia właścicielom ich żądań, względnie do zawarcia odpowiedniej ugody; nadto wybrali komitet z pięciu rob. ceg. złożony, mający wysłać statuty, zbierać pieniądze na ewentualne wydatki, a w danym razie prowadzić strejk. Statuty zostały też natychmiast wysłane do ministerstwa spraw wewnętrznych. Pełnomocnicy zaś rozesłali do wszystkich fabrykantów okólnik, w którym stawiali następujące żądania: 1) Płaca od 1.000 wyrobionych cegieł wynosi 3 złr. 20 ct. 2) Znosi się nadwyżkę 100 cegieł na wyrobiony tysiąc. 3) Znosi się pobieraną od opłotka opłatę 2 ct. dla pisarzy. 4) Za ustawioną w opłotki cegłę odpowiada przedsięb., a nie robotnik. 5) Odbiór cegły musi być dokonany do soboty 6-ej wieczór. 6) Zwózka i wywózka (chłodnej) cegły po 1 złr. 20 ct. od 1.000. 7) Układanie cegły w piecu po 25 ct. od 1.000. 8) Zamurowanie furt, lepienie i bajdowanie 1 złr. od komory. 9) Przerzucanie gliny na miejscu po 80 ct. od laski. 10) Kopanie gliny i odwóz 1 m^3 na 1-szą, 2-gą, 3-ią odległ. 20, 30, 35 ct. 11) Magazynowanie cegły po 50 ct. od 1.000. 12) Dzień roboczy trwa od 6 r. do 7 w. z płacą dla męż. 1 złr. 20 ct., dla kobiet po 80 ct. 13) Nie wolno przedsiębiorcom zatrzymywać t. zw. kaucyi. 14) Odkrywanie i przykrywanie cegły odbywa się na koszt przedsiębiorcy. 15) Ceglarzom należy się mieszkanie (12 m^3 powietrza na każdego) schludne i siennik. 16) W każdej cegielni ma być przynajmniej 1 studnia lub przedsiębiorca winien na swój koszt dostarczyć źródlanej wody do picia. 17) Surowo wzbroniona wypłata kwitkami, zamiast gotówką. Na ten okólnik nie odpowiedzieli pp. fabrykanci z wyjątkiem Stillera, który nadesłał arogancki list tej treści, że jego robotnicy mają się bardzo dobrze i niczego nie żądają. To też reprezentanci robotników ceglarskich uchwalili wypowiedzieć robotę. I 17 czerwca wypowiedzieli wszyscy ceglarze (2.000) robotę.

Już w przeddzień, 16-go odbyło się za rogatkami wielkie zgromadzenie ceglarzy przy udziale 5 mówców, 1.500 słuchaczy i 50.... policyantów. Na zgromadzeniu uchwalono za tydzień rozpocząć strejk, jeśli przedsiębiorcy żądań robotniczych nie wypełnią. I rzeczywiście — 24 czerwca 2.000 ceglarzy rzuciło robotę.

Panowie właściciele w pierwszym rzędzie zapewni-

li sobie wielką asystencyę wojskową i policyjną, której widok sam miał działać odstraszająco na robotników. Cały pułk piechoty w pełnem uzbrojeniu stał gotów do boju, co kilka godzin wysyłając inny batalion na teren strejkowy, gdzie główną kwaterę założył w cegielni „demokraty-patryoty-powstańca" dra Domaszewicza. Nadto większy oddział policyantów miał swą expozyturę również w cegielni Domaszewicza, Prócz tego komisarze starostwa, żandarmi, ajenci i inni reprezentanci władzy uwijali się wciąż po terenie strejkowym, — wszyscy prowadząc akcyę przeciw robotnikom. Akcya ta polegała zrazu głównie na tem, że strejkujących komisarze i żandarmi wlekli do kancelaryi i tam ostro wzywali do roboty, a gdy który ze strejkujących stanowczo odmawiał, aresztowano go i skutego odprowadzano do więzienia. I tak codziennie było kilka aresztowań, o których organa policyjne głosiły, że to hersztów uwięziono. Reprezentanci władzy pomagali właścicielom do wyrzucania gwałtem robotników z nędznych baraków, które im służyły za mieszkanie. Dalej władza dostarczyła kapitalistom większej liczby więźniów do roboty. Gdy zaś deputacya robotników ceglarskich udała się z zażaleniem do namiestnika Badeniego, ten pan jej odpowiedział mniej więcej to: „Moje dzieci, panom właścicielom wolno posługiwać się więźniami, wolno im dawać robotnikom jak najniższe płace, a wy, moje dzieci, leżcie do góry brzuchem, teraz pańszczyzny nie ma!"

Natomiast władza autonomiczna to jest prezydyum Magistratu przyjęło deputacyę bardzo życzliwie. Zastępca prezydenta pierwszy delegat p. Michalski natychmiast telefonicznie odwołał aresztantów miejskich, pracujących po cegielniach w miejsce strejkujących, dalej zawezwał do siebie naczelnika biura przemysłowego, radcę p. Strzelbickiego i polecił mu objęcie pośrednictwa między strejkującymi a właścicielami cegielń.

Strejkujący pierwszego dnia rano urządzili pochód głównemi ulicami miasta, w którym mimo deszczu ulewnego wzięło udział koło 1.500 ceglarzy. Po południu zaś w lokalu redakcyi „N. Robotnika" toczyły się narady komitetu 6 ceglarzy i 3 właścicieli cegielń, nie należących do ringu. Układy rozbiły się o opór właścicieli, którzy skłonni byli do drobnych tylko ustępstw. Na drugi dzień rano, tj. we wtorek odbyło się ogólne zgromadzenie robotników ceglarskich przy udziale niemal wszystkich strejkujących. Tego samego dnia wyjechała ze Lwowa blizko połowa strejkujących, wyrzucona przez właścicieli z baraków. Byli to niemal sami mazurzy z zach. Galicyi. Nazajutrz odbyło kilkaset strejkujących wycieczkę do Lesienic za rogatką Łyczakowską, gdzie do późnego wieczora bardzo dobrze się bawili. W piątek odbyło się znowu ogólne zgromadzenie strejkujących ceglarzy, uchwalono dalej strejkować i wybrano komitet z 21 robotników do układów z właścicielami, które miały się rozpocząć w sobotę d. 29 czerwca w biurze magistratu.

Wreszcie towarzysze ceglarscy wydali odezwę do mieszkańców Lwowa, wzywającą do popierania strejkujących. Skutkiem tej odezwy wpłynęło trochę pieniędzy, tak, że można było wesprzeć przynajmniej tych strejkujących, którzy nie mieli żadnych środków do życia.

I oto w końcu mimo niedogodnych warunków, mimo ogromnego nacisku ze strony władz, mimo wstrętnych sztuczek ze strony przedsiębiorców — robotnicy ceglarscy we Lwowie po dziesięciodniowej walce odnieśli świetne zwycięstwo. Zwycięstwo to mają zawdzięczyć jedynie *sobie samym*, swojej solidarności, która też była podziwienia godną; ludzie, którzy nigdy jeszcze nie słyszeli o organizacyi, nie mieli poczucia swej siły, postawili się tak dzielnie, że zmusili właścicieli do ustępstw. A trzeba dodać, że właściciele odciągnęli przy wypłacie przed strejkiem robotnikom zaliczki, tak, że większa część z nich miała przez czas strejku tylko kilkanaście centów na życie! Wytrwałość robotników przymusiła przedsiębiorców do ustępstw. Po długich, kilkudniowych pertraktacyach stanęła wreszcie ugoda. Oto jej główne punkty. Strycharze uzyskali podwyższenie płacy o 10 do 12 %, luzacy o 27 %, a układacze o 23 %. Przedsiębiorcy zgodzili się na zniesienie opłaty 2 ct. na pisarza i kaucyi, którą dotychczas musieli robotnicy składać. Odbiór cegły będzie się teraz odbywał co soboty; za cegły, ustawione w opłotki, odpowiadać będzie już nie robotnik, lecz przedsiębiorca. Czas pracy dla tych, którzy pracują na dniówkę, wynosić będzie 11 godzin, a nie 14—16, jak dotychczas. Również przyrzekli przedsiębiorcy dostarczyć robotnikom dobrej wody do picia, wybudować mieszkania zamiast dotychczasowych szop, zaprzestać nadużyć jak wypłaty kwitkami lub utrzymywania kantyny. Wreszcie zgodzili się nie prześladować nikogo z powodu strejku.

Jednym z doniosłych rezultatów tego strejku będzie nowopowstający związek zawodowy ceglarski.

[Podług „Naprzodu" i „N. Robotnika"].

Solidarność międzynarodowa

Dla nas — dla socyalistów polskich — wszelkie oznaki sympatyi międzynarodowej podwójne mają znaczenie. Krzepią one ducha w ciężkiej naszej walce codziennej, a zarazem są dowodem, że w boju ostatecznym, jaki proletaryat polski będzie musiał stoczyć z caratem, nie pozostaniemy bez czynnej pomocy ludów Europy. Listy tow. tow. A. Bebla i W. Liebknechta do redakcyi „Robotnika" są, jakkolwiek krótkie, jednym z najważniejszych dla nas a wymownym dokumentem tego rodzaju. Pomimo więc pewnego opóźnienia, uważamy za stosowne poniżej przedrukować je i w „Przedświcie".

Szanowni Towarzysze

Dowiadujemy się, że od niejakiego czasu wychodzi organ robotniczy pod tytułem „Robotnik", stawiający sobie za zadanie zdobycie polskiej klasy robotniczej dla socyalizmu; jeżeli kogo ta wiadomość radością napełnić może, to właśnie niemiecką socyaldemokracyę.

Socyaldemokracya niemiecka gorąco jest zainteresowana w szybkim i pomyślnym rozwoju socyalizmu w Polsce.

Z jednej strony widzimy bowiem w socyalistach polskich pionerów, którzy budzą i rozpowszechniają wśród polskiej klasy robotniczej zrozumienie zasad i dążności socyalistycznych i tworzą w ten sposób nowy punkt oparcia zarówno dla ruchu w Niemczech, jak i w całej Europie Zachodniej. Z drugiej strony uznajemy w silnej polskiej partyi socyalistycznej potęgę, która, w sojuszu z nami, może stawić czoło i despotyzmowi rosyjskiemu i zapędom caryzmu, żądnego zdobyczy na Zachodzie. Gdyż despotyzm rosyjski i carat stanowią groźne niebezpieczeństwo nie tylko dla ludu polskiego, ale i dla dążności kulturalnych całej Środkowej i Zachodniej Europy, zatem i dla rozwoju socyalizmu.

Dlatego też nowa Polska na podstawach socyalistycznych musi być przez nas witana jako nowy sojusznik i towarzysz bojowy. Również stanowi ta Polska socyalistyczna absolutnie konieczną podporę dla rosyjskich żywiołów socyalistycznych, które z wewnątrz podkopują Rosyę despotyczną i kapitalistyczną, żeby i nad nią mogło zaświecić kiedyś słońce swobody i sprawiedliwości.

Nie wiem, czy są w Europie dwa kraje, w których wzajemna solidarność socyalistów tak jasno się przedsta-

wia, jak Niemcy i Polska. Dlatego też ożywieni jesteśmy najszczerszem życzeniem powodzenia dla ruchu socyalistycznego u naszego wschodniego sąsiada — Polski.
Socyaldemokratyczne pozdrowienie i uścisk dłoni.

Wasz

August Bebel.

Berlin, 18 listopada 1894 r.

Kochani Towarzysze!

Nie miejcie mi za złe że do Was wcześniej nie napisałem. W ostatnich tygodniach oprócz zwykłej pracy miałem tyle roboty dodatkowej, że nie pozostawało mi ani chwili wolnej. Ale o szczerości moich sympatyi nie możecie wątpić. Już dzieckiem — ukochałem sprawę nieszczęśliwej Polski. A odkąd w 1848 i 1849 r. walczyłem ramię w ramię z polskimi ochotnikami za republikę a przeciw wrogom ludu, — nie mogę sobie wyobrazić walki o wolność bez polaków. Dopókąd zaś Rosya zagraża cywilizacyi zachodnio-europejskiej, polacy zwłaszcza są *naszymi* sprzymierzeńcami, sprzymierzeńcami *niemców*.

Socyalna demokracya, dążąca do wyzwolenia ujarzmionej, wyzyskiwanej ludzkości, *zagładzi także zbrodnię, popełnioną przez despotyzm na Polsce!* Pracujcie tylko energicznie i wytrwale nad wielkiem dziełem! A Wasze pismo niech żyje i rozwija się!

Tego Wam życzy z głębi serca z wiernem pozdrowieniem braterskiem Wasz

Wilhelm Liebknecht

Berlin, 22 grudnia 1894 r.

Na listy te najlepszą odpowiedzią jest artykuł „Na posterunku“, który z № 7 „Robotnika“ przedrukowujemy na innem miejscu. Widzimy z niego, iż partya nasza dokładnie rozumie obowiązki, ciążące na nas wskutek naszego położenia międzynarodowego, i że w poczuciu rosnącej siły świadomego proletaryatu polskiego nie waha się z wzięciem ich na swe barki. Z natury rzeczy, zresztą, rzeczywiste potrzeby własne proletaryatu każdego kraju znajdują się w najdoskonalszej harmonii z międzynarodowymi jego obowiązkami. Zasada ta u nas stwierdza się wyraźniej może, niż w jakimkolwiek innym kraju.

Ale — mówią to dobitnie i listy powyższe — z towarzyszami niemieckimi łączą nas węzły tak dawne i ścisłe, stosunki tak ciągłe i tyle wspólnych, nawet codziennych interesów, jak z proletaryatem żadnego innego narodu. Atoli wystarczało nam przemówić do świata robotniczego w naszym „Biuletynie“, by zewsząd, ze wszystkich krajów odezwały się głosy, dowodzące, że proletaryat na całej kuli ziemskiej rozumie nasze potrzeby, współczuje naszej walce i gotów jest nam dopomódz. W innym artykule mówimy o „Biuletynie“ obszerniej. Tu wszakże podamy jeszcze jeden list, otrzymany przez redakcyę Biuletynu z drugiego końca Europy, z Portugalii.

Lizbona, 24 czerwca 1895 r.

Drodzy współwyznawcy!

Z wielką przyjemnością otrzymałem Biuletyn Oficyalny Polskiej Partyi Socyalistycznej i w imieniu Rady Centralnej Portugalskiej Partyi Socyalistycznej przesyłam naszym przyjaciołom w Polsce bratnie nasze pozdrowienia.

Socyaliści polscy mogą liczyć w Portugalii na przyjaciół oddanych, których znajdą zawsze gotowymi do pomocy i do poświęcenia się na usługi wszystkich naszych braci.

Polska jest krajem bohaterów; jasnem więc było, że ruch socyalistyczny poczyni tam szybkie postępy i zorganizuje się, by módz zwycięsko zwalczać gniotącą go tyranię. Jedynie socyalizm potrafi wyzwolić ludzkość i uczynić j szczęśliwą, ponieważ on zaprowadzi panowanie równości i zniesie wszystkie warstwy burżuazyjne i arystokratyczne obecnego społeczeństwa. Socyalizm więc nie jest zwyczajną partyą polityczną, on jest — religią.

Proszę Was rozporządzać nami i ściskam Was po bratersku.

Sekretarz Rady Centralnej Portugalskiej Partyi Socyalistycznej

J. M. de Oliveira

207. Rua dos Fanqueiros

Na list ten Centralizacya Z. Z. S. P. w imieniu Polskiej Partyi Socyalistycznej odpowiedziała, co następuje:

Londyn, 7 lipca 1895 r.

Drodzy Towarzysze!

Otrzymaliśmy Wasz list serdeczny, pisany po odebraniu pierwszego numeru naszego Biuletynu. Dziękujemy Wam zań i wydrukujemy go w najbliższym № „Przedświtu“, który zaniesie ten piękny i szczery wyraz solidarności międzynarodowej socyalistycznych robotników braciom naszym, walczącym nad brzegami Wisły przeciwko okropnemu uciskowi i bezczelnemu wyzyskowi kapitalistów o podwójne wyzwolenie proletaryatu, zarówno polityczne jak i ekonomiczne.

Z № 2 „Biuletynu“ dowiecie się i opowiecie socyalistycznemu proletaryatowi portugalskiemu o środkach barbarzyńskich, którymi rząd rosyjski usiluje zdusić nasz ruch. Ale — jak widzieliście z Biuletynu — fale ruchu wznoszą się i będą się wznosiły łamiąc najpotężniejsze tamy, dopokąd nie wywalczymy dla Polski demokratycznej republiki, i biorąc z tego nowy pohop nie zapewnimy w swej ojczyznie tryumfu dla świętego ideału socyalistycznego wyzwolenia.

W walce tej ustawicznie zwracamy oczy ku towarzyszom naszym wszystkich krajów. Z radością widzimy jak wybitne miejsce w rzędzie miast europejskich zajmuje Lizbona swą wspaniałą manifestacyą majową, i od znakomitego rozwoju ruchu u Was oczekujemy zbawiennych dla sprawy robotniczej przeobrażeń politycznych i społecznych.

Wszak w 1830 r. wypadki na półwyspie Iberyjskim były hasłem do wybuchów w całej Europie, a na drugim jej krańcu — w Polsce — przybrały postać powstania 1830 — 1831 r. Dziś bardziej, niż kiedykolwiek, — ruch rewolucyjny nie może pozostać izolowanym, a musi wywołać poruszenia międzynarodowe. To też mamy niezłomną nadzieję, iż przyjdzie dzień, gdy we wspólnem a radosnem uniesieniu wspaniałego boju o szczęście wszech ludów socyaliści polscy i portugalscy podadzą sobie dłonie przez cały kontynent!

Przyjmijcie, drodzy Towarzysze, najlepsze nasze życzenia i bratnie pozdrowienie.

NASZ BIULETYN

W poprzednim № Przedświtu podaliśmy treść № 1 „Bulletin Officiel du Parti Socialiste Polonais“. Miał on na celu zapoznać towarzyszy innych narodowości w najogólniejszych zarysach z naszem położeniem i dążeniami. № 2 Bulletin, który tymczasem też już wyszedł, miał charakter bardziej okolicznościowy.

Od 29 czerwca do 8 lipca r. b. obradował w Paryżu V Międzynarodowy Zjazd Więzienny. Obok przedstawicieli urzędowych wszystkich państw „cywilizowanych“, między którymi jednak reprezentowaną była i barbarzyńska Rosya, brało w nim udział i wielu sentymentalnych utopistów, mniej lub więcej szczerze bolejących nad położeniem uwięzionych. Pewnego znaczenia kongresom więziennym odmówić nie sposób: państwa współczesne urządzają je na to, by udawać troskliwość o los swych nawet „zbłąkanych“ obywateli, i zmuszone rachować się z opinią publiczną unikają

pętem zbyt jaskrawych kontrastów z pięknemi słówkami zjazdowemi. Jeżeli jednak taka Rosya bierze w nich udział, to tylko po to, by nasycić się przyjemnem uczuciem równouprawnienia z państwami „cywilizowanemi" i uzyskać od nich milczącą sankcyę dla dalszych swych, pocichu w ciemnościach despotyzmu dokonywanych zbrodni. Na kongresach spotykają się „swoi ludzie", nie ma zwykle żadnej obawy dysonansu, „dobrze wychowani" delegaci zamykają oczy na najbardziej krzyczące bezprawia i udają, że o nich nic nie wiedzą. Wszak męczennicy lochów twierdzy Piotra i Pawła, ścigani jak dzikie bestye socyaliści włoscy itd. itd. nie przyjdą na kongres zakłócać „spokój" obrad i pikników? Otóż w tym roku postanowiliśmy zakłócić im tę harmonię i wystosowaliśmy do kongresu w imieniu P. P. S. list, piętnujący okropności, popełniane przez rząd carski na naszych braciach. — Czytelników, nie posiadających języka francuskiego, odsyłamy do NN⁰ 28, 29 i 30 „Naprzódu", w których cały ten „List Otwarty" do kongresu, stanowiący właśnie N⁰ 2 Biuletynu, został przedrukowany. Rezultat tego listu wypadł tak, jak zgóry przewidywaliśmy Na zapytanie, postawione w końcu „Listu": czy „Europa moralna" jeszcze istnieje? — kongres odpowiedział milczeniem, najwymowniej stwierdzając, iż nie w jego szeregach tej „Europy moralnej" szukać należy. Jednak w niektórych wnioskach czuć było wpływ „Biuletynu", który rozesłaliśmy wszystkim prawie członkom zjazdu. A najważniejszy cel, jaki mieliśmy na widoku, został dopięty. Niedość bowiem, że p. Gałkin — Wrasskij ze swoją świtą czuł się nawet w oczach swych kolegów międzynarodowych napiętnowanym, niedość, żeśmy nawet w zgromadzeniu delegatów rządów burżuazyjnych potrafili zedrzeć z wysłańców rosyjskich maskę europejską i odkryć utajone pod nią ohydne rysy mongolskich oprawców, ale — „Europa moralna", jedyna obecnie istniejąca, — Europa robotnicza odezwała się, wtórując nam w oburzeniu i wskazując siepaczy zemście proletaryatu międzynarodowego.

Winniśmy towarzyszom sprawozdanie z tego, co Biuletyn już zrobił. Niema prawie zakątka Europy, skąd by nas nie doszły głosy towarzyszy, sympatyzujące z naszym programem i uroczyście potwierdzające solidarność z nami. A pierwszy to raz polska partya socyalistyczna miała możność przemawiania obszerniej do proletaryatu międzynarodowego o naszych walkach i dążeniach, zjazdy bowiem międzynarodowe oczywiście nie mogą zajmować się specyalnie jedną jakąś partyą.

Z braku miejsca ograniczymy się tylko na krótkich wzmiankach o artykułach w prasie socyalistycznej europejskiej, wywołanych dotychczas Biuletynem i podających swym czytelnikom jego treść. Musimy przytem zaznaczyć, że nie jeden z takich artykułów prawdopodobnie nie doszedł do naszej wiadomości.

Anglia. — Artykuły we wszystkich 3 pismach soc.: „Justice", (N⁰ 598), „Clarion" (N⁰ 185, pomiędzy innemi wzywa towarzyszy francuskich do poparcia naszej sprawy przez walkę z aliansem franko-rosyjskim), „Labour Leader" (NN⁰ 66, 67 i 68) oraz w N⁰ 2.346 najbardziej poczytnego tygodnika radykalnego: „Reynolds's Newspaper". Zwłaszcza zasługuje na uwagę większy artykuł „L. L." N⁰ 68, w którym autor korzysta z naszego programu, by wskazać irlandczykom, że i ich dążenia do niezależności mogą znaleść szczerych obrońców tylko w socyalistycznych szeregach.

Austrya — Wiedeńska „Arbeiter-Ztg" (wydanie wieczorne z 10 lipca) umieściła większą część N⁰ 2 Biul. w przekładzie. Zresztą o tym N⁰ Liście do kongresu więz) były tu obszerne telegramy — o ile wiemy — we wszystkich (i burżuazyjnych) pismach niemieckich i polskich.

Bulgarya. — Na bulgarską partyę socyalistyczną proletaryat całej Europy patrzy jako na najlepszą tamę dla knowań rosyjskich na półwyspie bałkańskim. A do czego Rosya w swych pożądaniach zaborczych może się posunąć, tego świeżo dowiodło morderstwo Stambułowa przez jej agentów. Nasi towarzysze bulgarscy świadomi są wielkich swych obowiązków względem międzynarodowej rodziny ludów i wolności własnej ojczyzny. To też od samego początku prowadzą oni zażartą walkę ze stronnictwem moskalofilskiem, a bliższych sprzymierzeńców szukają w polskich socyalistach, codziennie toczących walkę z tym samym potworem caratu. Nic też dziwnego, że przyjęli oni nasz Biul. jaknajserdeczniej. Przytoczymy tu parę wierszy z długiego artykułu w N⁰ 72 „Socyalist": „Polski ruch socyalistyczny olbrzymią ma wagę dla robotników całego świata. Polska — to ogniwo, łączące trzy najpotężniejsze monarchie a gdy to ogniwo zaczyna się odrywać i otwierać wrota międzynarodowemu socyalizmowi, to prędko lud polski zawoła „koniec despotyzmowi!", jak przed 100 laty wrogowie mu wołali: „koniec Polsce!"

Francya. — Największe rezultaty wywołał Biul. w prasie francuskiej, — i uważamy to za najważniejszą naszą zdobycz. Kto chce zwalczać Rosyę, musi zwalczać alians franko-rosyjski, a trzeba to przyznać, że alians nie pozostał bez demoralizujących wpływów i na pewne sfery demokracyi francuskiej, Zanotujemy tu obszerne i wysoce sympatyczne artykuły w numerach 12, 13, 14 i 15 głównego organu guesde'ystów „Le Socialiste", w num. 10 „L'Avant-Garde" (Roanne), w num. 78 i 79 „Le Socialiste Troyen", w num. 1 142 „Le Parti Ouvrier" oraz w „La Question Sociale". Artykuły te nietylko po większej części podają całkowitą treść Biul., słychać w nich znowu dawne hasło wszystkich rewolucyonistów francuskich: „Vive la Pologne!" Zbyt jest znane stanowisko względem sprawy niezależności Polski, tej przedniej straży robotników francuskich, którą jest partya guesde'ystów, byśmy mieli przytaczać ustępy z „Le Socialiste". Zacytujemy natomiast z „L'Avant-Garde": „Przekonani jesteśmy, że w dniu, gdy Polska wstrząśnie haniebnem jarzmem, przygniatającem ją, będziemy gotowi do rozbicia jej kajdan".... Najważniejszymi wszakże są artykuły w jednym z najbardziej poczytnych dzienników francuskich, w „La Petite Republique", uznanej za organ centralny przez wszystkie grupy soc. franc. Z braku miejsca nie możemy tymczasem zatrzymywać się nad nimi dłużej, odsyłamy więc czytelników do N⁰ 7.011, 7.025, 7.026 i 7.039 tego pisma. Zwłaszcza cennym jest artykuł tow. L. Dubreuilh'a w N⁰ 7.025 „Les Nationalités", który zwrócił na siebie uwagę jak prasy socyalistycznej całej Europy, tak również pism burżuazyjnych naszych. Streścić go można byłoby do pewnego stopnia w jednem jego zdaniu: „Od dnia dzisiejszego socyaliści międzynarodowi obowiązani są uważać Republikę Polską za moralnie istniejącą", jednak, o ile nam miejsce pozwoli, podzielimy się z naszymi czytelnikami w przyszłym N⁰ Przedświtu zarówno tym artykułem, jak i naszą w imieniu P. P. S. nań odpowiedzią, umieszczoną w N⁰ 7.039. Echa wrażenia, wywartego przez Biul. odbiły się nawet o anarchistyczne „Les Temps Nouveaux" (N⁰ 12). —

Hiszpania. — Artykulik w N⁰ 41 „La Lucha des Clases" (Bilbao).

Kroacya. — I tu działają agenci moskiewscy, i tu socyaliści muszą zwalczać knowania rosyjskie. To też „Sloboda", organ partyjny, w N⁰ 14, umieszczając obszerny wyciąg z naszego „Listu do kongr.", wyciąga z niego wnioski co do moralnej wartości tych dziennikarzy kroackich, którzy wychwalają „demokratyzm rosyjski".

Niemcy. — Nie ma co mówić, że tu nasz Biul.

spotkał się z jak najlepszem przyjęciem, tow. Liebknecht, Bebel itd. nie szczędzili nam słów zachęty. Z drugiej strony wszakże nasze położenie, ruch i program zbyt są znane tow. niem., by potrzebowali czerpać z pierwszych 2 NN⁰ Biul. Swoją drogą w N⁰ 157 „Vorwärts“ obszerny artykuł wstępny powtarza całą prawie treść „Listu Otwartego“, zaopatrując ją energicznym komentarzem. Podobny artykuł wstępny widzimy też i w N⁰ 80 chemnickiego „Beobachter“.

Portugalia. — O objawach sympatyi z tego kraju mówimy gdzieindziej. Tu zaznaczymy, iż N⁰ 78 głównego organu par. port. „A Federaçao“ podaje fakty o wzroście ruchu pod zaborem pruskim oraz cały nasz program.

Szwajcarya. — Dotychczas widzieliśmy tylko w N⁰ 159 *radykalnego* „Le Genevois“ bardzo sympatyczną wzmiankę, z której wyjmujemy co następuje: „Gdy duchowieństwo i arystokracya polska skończyły na uznaniu panowania najezdców, socyalna demokracya polska, popierana przez wszystkich socyalistów innych narodowości, dąży w przeddzień dwudziestego wieku do odbudowania niezależności narodowej. Bezmyślne marzenie! czysta chimera! mówią na około mnie ludzie poważni, wyobrażający sobie wiek dwudziesty tak samo nikczemnym jak wiek dziewiętnasty. Naiwne marzenia Wasze, bezsensowne urojenia! — mogą tym ludziom poważnym i wszystkim zadowolonym z obecnego stanu rzeczy odeprzeć ci, którzy wierzą w przyszłe zwycięstwo sprawiedliwości i pokoju!“...

Włochy. — Artykuł, streszczający N⁰ 1 Biul., w N⁰ 28 „Lotta di Classe“ organu centr. par. włoskiej.

Bibliografia

Robotnik, organ P. P. S. N 7.

Po niespełna półrocznej przerwie ukazał się znowu N⁰ Robotnika, powitany z radością przez masy robotnicze, z wściekłością przez bezsilną w swych zabiegach żandarmeryę carską. N⁰ z datą 7 czerwca r. b. o 12 stronach rozpoczyna «Słowo od Redakcyi», wzywające o pomoc materyalną i moralną. Dalej idzie list do redakcyi tow. Liebknechta, który przedrukowujemy na innem miejscu, jak również następny artykuł: «Na posterunku». Artykuł «Gorliwość żandarmska» wywleka na światło dzienne nowe machinacye żandarmeryi carskiej, która, nie mogąc w inny sposób, usiłuje zniszczyć organizacyę za pomocą prowokatorów; główny działacz na tem polu — podpułkownik Utgoff — zdołał rzeczywiście pozyskać dla swych planów pewną ilość osób; ale większość zaraz po wyjściu z cytadeli wyznała przed organizacyą, iż podjęli się pozornie roli szpiegów, byle uwolnić się z więzienia; ci zostali ukarani natychmiastowem wykluczeniem z partyi i usunięciem od wszelkiej roboty: gdyż pozorna nawet zgoda na niecne propozycye zawsze zostawia na człowieku plamę, która nigdy prawie zmyć się nie daje; — innych, którzy milczą, partya też zna i wzywa do otwartego wyznania hańbiących pertraktacyi, jeśli chcą uniknąć cięższej a zasłużonej kary. «Kronika krajowa» poświęcona jest przedewszystkiem sprawozdaniu ze święta majowego pod zaborem rosyjskim, z którego większą część przedrukowaliśmy jeszcze w N⁰ 5 Przedświtu; oprócz tego zawiera ona cały szereg ciekawych faktów: z policyjnej służby księży katolickich, ucisku rządowego i t. p. «Kronika zagraniczna» (upadek ustawy przewrotowej w Niemczech) i «Pokwitowania» zamykają N⁰. W felietonie zaś «Dom zgrozy i gwałtów» znajdujemy przerażający obraz okropności, dziejących się na Pawiaku z towarzyszami naszymi, czekającymi po ukończeniu śledztwa na wyrok lub deportacyę.

Pomiędzy tymi, którzy już na szczęście opuścili ten «dom zgrozy i gwałtów» znajduje się tow. Stanisław Kasyusz z b. «Proletaryatu», który razem ze swą żoną (pobrali się w więzieniu) tow. E. Wodzisławską wyjechał na Sybir na pięć lat wygnania po przebyciu pięciu lat w więzieniach rosyjskich.

Światło, miesięcznik ku oświacie i rozrywce klas pracujących. N⁰ 2, 3, 4, 5 i 6. Lwów. 1895.

Młode to pismo bratnie rozwija się coraz lepiej. Przytaczamy tu treść wyżej wymienionych N N⁰. N⁰ 2: Komuna paryska, J. Kozakiewicza. — Materyalistyczne pojmowanie dziejów (dokoń.) — Karol Fourier, H. Rawskiej. — Niewidzialni wrogowie (dokoń.) — Zapiski literackie. — Notatki. — Z cyklu wierszy p. t. «Janina», Z. — Lasy i pastwiska (dokoń.), I. Franki.

N⁰ 3: Święto pracy, J. Hudeca. — «Narodowe misye», Żegoty. — Chłopska posiadłość w Galicyi I, W. Budzynowskiego. — Proletaryat, jako wynik ustroju kapitalistycznego. — Zapiski literackie. — Notatki. — Jak to wyglądało w początkach (opowiadanie z 1 maja), I. Daszyńskiego.

N⁰ 4: Anachronizm, Żegoty. — Chłopska posiadłość w Galicyi, II, W Budzynowskiego. — Szczepan Cabet, H. Rawskiej. — Upadek rodziny, T. Regera. — Niobe współczesna. K. (wiersz). — Pogrobowcom, Napierskiego (wiersz). — Dwa strapienia, Janko.

N⁰ 5: Nieczyste sumienie, Żegoty. — Chłopska posiadłość w Galicyi, d. c. W. Budzynowskiego. — Minimalny program polityczny socyalnej demokracyi w Austryi. — O ustawodawstwie ochronnem. — Tomaszowa, J. Hudeca.

N⁰ 6: Nieszczęście karyerowiczów, Żegoty. — Chłopska posiadłość w Galicyi, d. c. W. Budzynowskiego. — Komunizm, T. Regera. — Zapiski literackie. — Notatki. — Na wozie, A. Niemojowskiego (wiersz). — Tomaszowa, I. Hudeca.

Bocian. — Pismo satyryczno-społeczne. Organ robotników. Przemyśl, ul. Czarneckiego, N⁰ 11.

W myśl uchwały zjazdu partyjnego od 1 lipca zaczął znowu wychodzić dwa razy na miesiąc «Bocian» znany już szerokiemu ogółowi robotniczemu z czasów poprzedniego wydawania jego we Lwowie. Jest to jedyne pismo nasze humorystyczne i potrafi dzielnie chłostać biczem satyry osławione «porządki» galicyjskie. Witamy serdecznie nowy organ bratni i polecamy go gorąco poparciu towarzyszy, od nich zależy zapewnić «Bocianowi» trwalsze istnienie i pomyślny rozwój. — Prenumerata wynosi rocznie: w Niemczech 4 marki, we Francyi 8 franków, w Londynie z naszej redakcyi — 4 sh.

Geschichte der Socialistischen Bewegung in Polen. — 1) Russisch — Polen. 2) Oesterreichisch — Polen. 3) Preussisch — Polen. Aus dem „Handbuch des Socialismus“ von Dr. jur. Carl Stegmann und Dr. phil. C. Hugo, Zürich 1895, 31 str. 8 o. Cena 50 centim., 40 fen., 25 centów austr., 10 centów amer.

Pod tym tytułem otrzymaliśmy na skład główny odbitkę z «Handbuch des Socialismus» artykułu o ruchu polskim. Dopóki nie zdobędziemy się na historyę naszego ruchu pod 3-ma zaborami — w języku polskim, a taka historya po polsku musiałaby być naturalnie daleko obszerniejszą, dotąd dziełko niniejsze będzie jedynym przewodnikiem do studyów nad rozwojem naszej partyi. Przytem jakkolwiek krótkie — nie pomija ono żadnego faktu ważniejszego. Rzecz doprowadzona do końca 1894 roku.

Wyszedł **N⁰ 8 „Robotnika“**. Obszerniejszą wzmiankę odkładamy do przyszłego N⁰.

*** *Pokwitowania* z braku miejsca odkładamy do przyszłego numeru.

Numer niniejszy składa się z czterech arkuszy druku.

TREŚĆ: Teraźniejszość i przyszłość pol. w Ameryce. — Pokonani zwycięscami! dramat. — Ze Szląska austryackiego I. — Ruch narodowy litewski. — Ameryka II. W. F. — M. Żukowski. S. L. — Naczelnicy ziemscy. — Z kraju i o kraju. — Solidarność międzynarodowa. — Nasz Biuletyn. — Bibliografia.

Printed & published by Al. Dębski. Beaumont Square N⁰ 7 Mile End Rd. — London E.